MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 27. (26 skonfiskowany) WARSZAWA, 24 CZERWCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

SKONFISKOWANO

POLSKIE DĄŻENIA MORSKIE ZA PIASTÓW

(Ciąg dalszy)

POMORZANIE byli szczepem bitnym i dzielnym. Znali oni dobrze cudzoziemców, przedewszystkiem kupców arabskich i żydowskich, przybywających Odrą i Wisłą, oraz Normandów, urządzających na nich ciągłe napady od strony Bałtyku. Stosunki z kupcami zachęciły ich do handlu i życia w miastach, a napady normandzkie wyrobiły w nich odwetową żyłkę napastniczą. Pozatem osiedlanie się w grodach dało przewagę żywiołowi bogatemu, tworzącemu coś w rodzaju patrycjatu i nastrojonemu niechętnie względem władzy jednoosobowej.

Z tymi Pomorzanami zaczęli walkę Piastowie.

Walka ta jednak odrazu przybrała charakter daleko bardziej skomplikowany, albowiem wzięły w niej udział dwa narody obce, które również dążyły do opanowania Pomorza. Byli to normandzcy Duńczycy i prący z południowego zachodu Niemcy. Walka Piastów daje się więc podzielić na dwa okresy: duński (wieki X — XI) i niemiecki (wieki XII — XIV). Dodać przytem należy, że Duńczycy nie ustępowali z Bałtyku przed Niemcami, lecz przeciwnie toczyli z nimi zajadłe boje, ciągnące się przez cały okres XII — XIV stuleci i które odezwały się później w epoce Odrodzenia.

Wikingowie normandzcy około 1000 r. zaczęli organizować się zasadniczo w trzy państwa: Danję, Norwegję i Szwecję. Państwa te nieustannie walczyły między sobą o hegemonję. Szczególniej była ostra walka między Danją i Szwecją. Środek ciężkości hegemonji przesuwał się co lat kilkanaście z duńskiej Zelandji do szwedzkich siedzib koło Upsali. Piastowie wyzyskiwali tę walkę nader umiejętnie. Zasadniczym ich współzawodnikiem na Pomorzu byli Duńczycy, którzy w X-em stuleciu założyli na wyspie Wolinie, na północ od głównego portu pomorskiego, Wolina, mocną twierdzę nadmorską, Jomsborg, oraz szereg mniejszych fortalicyj brzegowych na wybrzeżu bałtyckiem daleko na wschód, aż do ujścia Wisły. Załogi duńskie ustawicznie pomagały Pomorzanom w ich walce z zastępami piastowskiemi. Wystąpiło to jaskrawo podczas wojen Mieszka I-go z Wolinem, w które się wtrącał król duński Harald Sinozęby (939 — 985), wysyłając przeciwko Mieszkowi I-mu zbiega niemieckiego, Wichmana. Mieszko, zabezpieczony od Niemców przyjęciem chrześcijaństwa, kładł na Pomorzu rękę coraz silniej, zwracając przedewszystkiem uwagę na tereny nadodrzańskie, gdzie spotykał najsilniejszy, bo pomorsko-duński opór.

Przeciwko Haraldowi zawarł przymierze z jego przeciwnikiem, królem szwedzkim Erykiem Zwycięskim (? — 995), wydając zań swoją córkę Sygrydę i zdołał przeciągnąć na swą stronę nawet załogę duńską z Jomsborga. Po śmierci Mieszka, syn jego i następca, Bolesław Chrobry (992 — 1025) czuł się na Pomorzu tak pewnie, że przystąpił do jego systematycznej chrystjanizacji, zakładając biskupstwo w Kołobrzegu. Za jego też czasów sfolżał nieco nacisk duński, albowiem syn Haralda Sinozębego, Swegen Widłobrody (985 — 1014), ożenił się z córką Mieszka Sygrydą, wówczas już wdową po Eryku Zwycięskim, zwrócił uwagę na dawny szlak normandzki, wiodący na morze Północne, i rozpoczął podbój Anglji. Ten względny spokój trwał niedługo, bo zaraz po śmierci Chrobrego runął na Pomorze jego siostrzeniec, syn Swegena Widłobrodego i Sygrydy, Kanut Wielki (1014 — 1031). Będąc panem Danji, Anglji i Norwegji, zapragnął on posiąść z powrotem wybrzeże pomorskie.

W rezultacie Polska, mając z zewnątrz najazd czeski, niemiecki, duński i ruski, a wewnątrz rewolucję pogańską, utraciła przejściowo Pomorze. Nawet biskupstwo kołobrzeskie zostało przeniesione do Kruszwicy. Swoją drogą, Kazimierz Odnowiciel (1038 — 1058), po zwycięstwie nad zbun-

towanymi Mazurami i Pomorzanami, okiełzał jako tako Pomorze, tembardziej, że gniazdo duńskie w Jomsborgu zostało zniszczone przez samych Duńczyków. Urządzał też wyprawy karne na Pomorze Bolesław Śmiały (1058 — 1080), lecz zrealizowaniu jego planów, dążących do urzeczywistnienia zamiarów Chrobrego, stanął na przeszkodzie rokosz wewnętrzny rosnącego już w siłę możnowładztwa.

Przywróceniem władzy piastowskiej na Pomorzu zajał się energicznie synowiec Śmiałego, Bolesław Krzywousty (1102 — 1138). Zagadnienie pomorskie traktował on jako najważniejsze w swojej polityce. Zwycięskie boje z Niemcami, Rusią i Węgrami zapewniły Polsce spokój od ściany zachodniej, południowej i wschodniej. Mógł zatem Krzywousty zabrać się spokojnie do wykonania zamiarów pierwszych Piastów. Całe jego panowanie wypełnia z krótkiemi przerwami kampanja pomorska. Wojska polskie, koncentrujące się w ulubionym przez Krzywoustego Płocku, sforsowały przedewszystkiem główne brody noteckie, biorąc szturmem grody przyczółkowe: Nakło, Ujście, Czarnków i Santok, a następnie rozpoczęły marsz w głąb kraju. Marsz ten odbywał się przez grząskie moczary i nieprzebyte puszcze, w których orjentowano się jedynie przy pomocy słońca w dzień, a gwiazd w nocy.

Wyprawy, powtarzane co roku prawie, zostały uwieńczone powodzeniem: padł Białogród i zastępy Krzywoustego stanęły pod Kołobrzegiem, a następnie skierowały się na Szczecin i Wolin. W 1121 r. książę szczeciński Warcisław uznał się hołdownikiem Krzywoustego, przyjął chrzest i zobowiązał się do dostarczania co dziesiątego rycerza do służby w drużynie książęcej oraz płacenia 300 grzywien rocznie haraczu. Zostało też wówczas założone biskupstwo w Wolinie, podległe metropolji gnieźnieńskiej. W parę lat później zawarł Krzywousty przymierze z królem duńskim Mikołajem, wydając zamąż za jego syna Magnusa swoją córkę Ryksę i rozpoczął wspólne działania wojenne przeciwko Pomorzanom zaodrzańskim i Ranom na Rugji. Widocznie Duńczycy woleli podzielić się wpływami bałtyckiemi z monarchą polskim, którego sława wojenna grzmiała po całej Europie, aniżeli narażać się na niepewną walkę. Wyspy Orzna (niem. Usedom) i Rugja zostały zdobyte przy pomocy floty Mikołaja i w 1135 r. Bolesław Krzywousty stał się panem całego Pomorza, a hołdownikiem cesarza niemieckiego z wyspy Rugji, do której Niemcy rościli sobie pretensję w związku z ciągłemi walkami, jakie toczyli ze słowiańskiemi plemionami Obotrytów, zamieszkujących dzisiejszą Meklemburgję. Krzywousty uważał Pomorze za najcelniejszą perłę korony polskiej i dał temu dobitny wyraz w swym historycznym testamencie, łącząc senjorat krakowski z posiadaniem Pomorza. Za jego czasów całe Pomorze, jak długie i szerokie, od Odry do Wisły, stanowiło część składową Polski. Plany Mieszka I-go i Chrobrego zostały spełnione.

Ze śmiercią Krzywoustego zakończył się pierwszy okres piastowskiej walki o Pomorze. Okres, w którym Polska miała do czynienia nad Bałtykiem głównie z Duńczykami.

Obecnie na widownię wystąpili Niemcy. Parli oni ku Bałtykowi z południowego zachodu. Rozgromili w końcu XI-go stulecia t. zw. państwo wendzkie i w postaci krucjat zanieśli ogień i miecz na Pomorze w 1147 r. W Polsce zaczął się właśnie zamęt po śmierci Krzywoustego i bratobójcze walki o Kraków. Na Pomorze przestano zwracać uwagę. Chwilę tę natychmiast wyzyskali Niemcy i Duńczycy. Pierwsi zmusili księcia szczecińskiego Bogusława, dotychczasowego lennika polskiego, do złożenia hołdu cesarzowi w 1180 r., przyczem biskupstwo wolińskie odpadło od metropolji gnieźnieńskiej, a drudzy, rozpoczynając słynny okres „Waldemarów", zaczęli zpowrotem podbijać Rugję i pomorski szlak nadbrzeżny. Nacisk niemiecki był daleko groźniejszy, nie kontentowali się oni albowiem zajęciem kraju i nałożeniem daniny, lecz tępili przedewszystkiem ludność tubylczą i brali w swe ręce cały ruch handlowy. Tępienie przeprowadzali systematycznie pod pozorem krzewienia chrześcijaństwa, wysyłając nad Bałtyk niemieckie zakony rycerskie: Teutoński Marji Panny i Kawalerów Mieczowych. Zakon Teutoński osiadł w 1228 r. na północy Mazowsza, w t. zw. ziemi chełmińskiej, między ujściami Drwęcy i Ossy do Wisły, i zaczął energiczny podbój krainy Prusów między dolną Wisłą i Niemnem. Zakon Kawalerów Mieczowych założył siedzibę przy ujściu Dźwiny w 1202 r. i w krótkim czasie opanował łotewskie i estońskie wybrzeża Bałtyku. Jednocześnie w zdobytym na Obotrytach Lubiczu, przemianowanym na niemiecką Lubekę, zaczęło się krzątać intensywnie, sprowadzone z głębi cesarstwa, kupiectwo niemieckie, chcąc opanować Bałtyk pod względem handlowym. W 1158 r. założyli kupcy niemieccy z Lubeki swoją faktorję w Wisby na Gotlandji, centralnej wyspie Bałtyku, i rozpoczęli ożywione obroty handlowe z miastami skandynawskiemi oraz polskiemi. Lubeka i Wisby stały się wkrótce ogniskami tych obrotów. Do obrotów owych Lubeka wciągała coraz więcej miast, zarówno portowych, jak i leżących w głębi lądu, a w 1260 r. zwołała pierwszy zjazd przedstawicieli tego kupiectwa. Na zjeździe przedstawiciele ci utworzyli związek polityczno-handlowy pod nazwą „*Hanza*" (targ w staroniemieckim języku). Związek ów objął cały szereg miast na Pomorzu, jak Kołobrzeg, Gdańsk, Elbląg i t. d., i w głębi Polski, jak Toruń, Chełmno, nie licząc oczywiście miast nadreńskich i westfalskich. Wkrótce „*Hanza*" stała się pierwszorzędną potęgą ekonomiczną i wojskową, zapuszczając swoje macki głęboko we wszystkich krajach nadbałtyckich. Niemcy zatem w połowie XIII-go stulecia siedzieli mocno na Pomorzu zachodniem (nadodrzańskiem), mieli wybrzeże między ujściami Wisły i Niemna i opanowali brzegi łotewskie, a pozatem przenikali za pośrednictwem „*Hanzy*" wgłąb Polski.

Drugi współzawodnik Polski, Duńczycy, rozpoczęli pod wodzą swych królów Waldemarów: Wielkiego (1157 — 1182) i Zwycięskiego (1202 — 1241) podbijanie wybrzeży bałtyckich. Szło im zasadniczo o powiększenie państwa i ciągnięcie większych zysków z nowych poddanych, lecz tępienie ludności nie leżało w ich interesie. Monarchowie duńscy tytułowali się nawet królami „Duńczyków i Słowian", a dążyli do podbojów na wschodzie, mając odcięte szlaki zachodnie, wiodące do Anglji, gdzie usadowiła się dynastja francusko-normandzka. Niemcy początkowo nie przeszkadzali zapędom duńskim, pomogli nawet do zawojowania Rugji i Wolina przez Waldemara Wielkiego, a Waldemar Zwycięski koronował się nawet w Lubece. Lecz kiedy tenże Waldemar, mając już jako hołdownika księcia szczecińskiego

na Pomorzu nadodrzańskiem, wymusił uznanie się za pana także od księcia gdańskiego Mszczuja, rządzącego Pomorzem nadwiślańskiem z ramienia Polski, i opanował pas nadbrzeżny między Wisłą i Niemnem, a potem ziemie przy ujściu Dźwiny i zaniósł panowanie duńskie do Estonji, wówczas hrabia Henryk meklemburski porwał zdradą Waldemara na polowaniu i zmusił go do zrzeczenia się wszystkich podbitych ziem i obszarów. Działo się to w 1225 r. i na całym brzegu południowym Bałtyku zapanowali znów Niemcy, albo bezpośrednio, jak w ziemi Prusów czy na Łotwie, albo pośrednio, jak na Pomorzu nadodrzańskiem. Ostatni cios panowaniu duńskiemu zadała *„Hanza“*, która, tocząc zwycieskie boje morskie z królem duńskim Waldemarem IV (1340 — 1375), zmusiła go po uporczywej walce do przyjęcia hańbiącego układu z 1370 r., że *„Hanza“* zatwierdza na tronie każdorazowego monarchę duńskiego i że monarcha ten jest zobowiązany do dochowywania wszystkich przywilejów, jakie uzyskał od jego poprzedników związek hanzeatycki. Można tedy powiedzieć, że w okresie późnego średniowiecza wpływy zarówno na Bałtyku, jak i na jego wybrzeżach, w szczególności na południowem, przeszły w ręce niemieckie.

Polska, zaczynając od śmierci Krzywoustego, zapadała się zwolna w otchłań anarchji. Liczba dzielnic książęcych rosła, jak na drożdzach, rozdrabniajac kraj i odbierając wszelki autorytet „senjorowi", księciu krakowskiemu. Zaciekłe walki książąt dzielnicowych, dobijających się to Krakowa, to, znacznie częściej, jakiegoś zamku lub miasta czy powiatu, wzmagały się gwałtownie z każdem dziesięcioleciem. Oczywiście, wielka myśl państwowa o utrzymaniu Pomorza, myśl, stanowiąca podstawę polityki Chrobrego i Krzywoustego, zanikała szybko. Tlała ona jednak dość żywym płomieniem do pierwszej ćwierci XIII-go wieku. Upokorzony pod Krzyszkowem przez cesarza Fryderyka Barbarossę Bolesław Kędzierzawy nie silił się nawet o utrzymanie Pomorza nadodrzańskiego, zwanego powszechnie zachodniem, choć wołali o ratunek przed nawałą niemiecką lennicy polscy ze Szczecina i Białogrodu. Zwrócił natomiast Kędzierzawy uwagę na ziemie bałtyckie, leżące między dolną Wisłą i Niemnem, rozpoczynając systematyczne wyprawy przeciwko litewskim Prusom. Wyprawy te atoli nie były zbyt szczęśliwe i ściągnęły, jako odwet, najazdy pruskie na Mazowsze. Energiczny Mieszko Stary, dążąc do zjednoczenia całej Polski i przywrócenia dawnej monarchji, zwrócił baczną uwagę na zagadnienie pomorskie. Przedewszystkiem zawarł związki z tamtejszemi rodami książęcemi, żeniąc swoich synów: Bolesława z księżniczką szczecińską Dobrosławą, córką shołdowanego przez Krzywoustego Warcisława szczecińskiego, oraz Władysława, zwanego później Laskonogim, z Łucją, księżniczką rugijską, córką księcia Jaromara, którego zmusili do poddania się Duńczycy w czasach Waldemara Wielkiego. Pozatem wydał Mieszko Stary swoje trzy córki za książąt pomorskich, mianowicie Salomeę za Racibora szczecińskiego, syna księcia Bogusława, który uznał władztwo niemieckie na Pomorzu nadodrzańskiem, Anastazję za tegoż Bogusława i Zwinisławę za Mszczuja, namiestnika polskiego w Gdańsku, t. j. na Pomorzu nadwiślańskiem, wschodniem. Jak z tego wynika, Mieszko Stary zahaczył familijnie całe pomorskie dziedzictwo Krzywoustego: Rugję, Pomorze nadodrzańskie i Pomorze nadwiślańskie. W uporczywych walkach, toczonych przezeń o zdobycie i utrzymanie się na Wawelu, pomagali mu krewniacy pomorscy, lecz nie zdążył energiczny Piastowicz scalić całego dziedzictwa swych przodków, choć umarł, jako książę krakowski.

(Dok. nast.) WITOLD HUBERT

PROGRAM HITLERYZMU

TRUDNO się oprzeć zaciekawieniu, gdy ma się przed sobą niewielką książeczkę w żółto-czerwonej okładce z dużą swastyką czarną w białem kole, o tytule: *„Das Programm der N. S. D. A. P. und seine weltanchaulichen Grundgedanken*" („Program narodowo-socjalistycznej niemieckiej partji robotniczej i jego myśli zasadnicze co do poglądu na świat") przez dypl. inż. Gotfryda Federa, majora rezerwy, stron 62. Jest to zeszyt pierwszy „narodowo-socjalistycznej bibljoteki", wydawanej przez autora tej pierwszej książeczki, Gotfryda Federa, w nakładzie spadkobierców Frz. Ehera, sp. z o. o. w Monachjum. A więc pierwsze, zasadnicze i autentyczne wyjaśnienie dążeń hitleryzmu. Najciekawsza bodaj na karcie tytułowej książeczki jest wzmianka: wydanie 136 do 145, 676 do 725.0000; a więc jest to książeczka, która rozchodzi się już przeszło w 700 tysiącach egzemplarzy, której posiadaczem jest więc przynajmniej każdy setny członek narodu niemieckiego. Książeczka, która wywarła wpływ zasadniczy wciągu kilku lat swego istnienia, od sformułowania dążeń do objęcia władzy przez ruch narodowo-socjalistyczny.

W przedmowie do pierwszego wydania autor podkreśla, że było życzeniem zjazdu partyjnego w r. 1926 w Wejmarze, wydawanie szeregu broszur, któreby krótko i jasno wykładały rzeczy zasadnicze w polityce partji: „jak jest? skąd tak się stało? co ma być?" Te zeszyty mają tworzyć urzędową literaturę partji. Pierwsze wydanie książki ukazało się w sierpniu 1927 r. W przedmowie do 4-go wydania przytacza autor zdanie Adolfa Hitlera ze zjazdu z 31 sierpnia 1927 r.: „pytania programowe nie zajmują obecnie miejsca w obradach przewódców, program utrzymujemy mocno i nigdy nie ścierpię, by naruszono cośkolwiek z programowych podstaw wspólnego ruchu". Wtedy raczej interesuje ogół niemiecki tylko wyjaśnienie pewnego, jednego punktu programu (§ 17) i twarde powtarzanie, że narodowi socjaliści odrzucają wszelkich zwolenników z zastrzeżeniami, *„die Zwaraberer*", którzy „chociaż i mianowicie", „wogóle" zgadzają się, ale „jednak" chcieliby pewne poszczególne kwestje nieco odmiennie tłumaczyć. Ruch narodowo-socjalistyczny nakazuje wszystkim twardo i mocno wierzyć w jego wyznanie wiary. W dalszym ciągu, w przedmowie do 326 — 350 tysięcznych egzemplarzy, autor podkreśla mocniej jeszcze: „odrzucamy możliwość tego, co czynią inne partje, by ze względu na celowość program nasz przystosowywać do tak zwanych okoliczności. My będziemy właśnie przystosowywać okoliczno-

ści do naszego programu, gdyż my stwarzamy okoliczności".

Wreszcie ostatnia przedmowa, gdy partja i autor są już przy władzy, 11 sierpnia 1933 r. Zdanie pierwsze: „program partji narodowo-socjalistycznej jest niezmienny", zdanie ostatnie: „narodowy socjalizm nie zawiedzie narodu niemieckiego".

A więc niezmienność zasad od czasu ich sformułowania do pierwszego roku rządów. Co dalej — pozostawić należy przyszłości.

Pierwszą, główną część książki zajmuje obwieszczenie partji o jej stanowisku wobec ludu wiejskiego i gospodarstwa wiejskiego, sformułowane 6 marca 1930 r. Ta kwestja, jako kwestja centralna odrodzenia narodowego Niemiec przez nawrót do rolnictwa, była już oświetlana i bardziej jest znaną. Jest też obecnie w istocie realizowana przez rządy Hitlera w myśl tego programu. Najważniejszą część książki stanowią przytoczone 25 punktów programu, przyjęte 25 lutego 1920 r. w Monachjum, które brzmią:

1. Żądamy zespolenia wszystkich Niemców na zasadzie prawa samostanowienia narodów w jedne Wielkie Niemcy.

2. Żądamy równouprawnienia Narodu Niemieckiego wobec innych narodów, uchylenia traktatów pokojowych w Wersalu i w Saint Germain.

3. Żądamy kraju i ziemi (kolonij) dla wyżywienia naszego narodu i osiedlenia naszego przyrostu ludności.

4. Obywatelem państwa może być tylko ten, kto jest członkiem narodu *(Volksgenosse)*. Członkiem narodu może być tylko ten, kto jest krwi niemieckiej, bez względu na wyznanie. Żaden żyd nie może być wobec tego członkiem narodu.

5. Kto nie jest obywatelem państwa, może tylko jako gość żyć w Niemczech i musi podlegać ustawodawstwu dla cudzoziemców.

6. Prawo decydowania o kierowaniu państwem i o ustawach może przysługiwać tylko obywatelowi państwa. Wobec tego żądamy, by każdy urząd publiczny jakiegokolwiek rodzaju, czy to Rzeszy, czy kraju, czy gminy, mógł być powierzony jedynie obywatelowi państwa. Zwalczamy przekupną gospodarkę parlamentarną obsadzania stanowisk tylko na zasadzie względów partyjnych, bez zważania na charakter i zdolności.

7. Żądamy, by państwo się zobowiązało przedewszystkiem dbać o możność zarobku i życia dla obywateli państwa. Gdy nie można wyżywić całej ludności państwa, należy wyrzucić z Rzeszy przynależnych do narodów obcych (nie obywateli państwa).

8. Należy wzbronić wszelkiego przychodźtwa nie-Niemców. Żądamy, aby wszyscy, którzy przybyli do Niemiec od 2 sierpnia 1914 r., natychmiast byli zmuszeni do opuszczenia Rzeszy.

9. Wszyscy obywatele muszą posiadać równe prawa i obowiązki.

10. Pierwszym obowiązkiem każdego obywatela musi być: tworzyć duchowo lub fizycznie. Działalność jednostki nie może się zwracać przeciwko interesowi ogółu, lecz musi być skuteczną w ramach dobra ogółu i pożytku wszystkich.

Wobec tego żądamy:

11. Zniesienia dochodu bez pracy i trudu.

Złamania niewoli czynszowej.

12. Wobec niesłychanych ofiar mienia i krwi, których żąda każda wojna od narodu, wszelkie osobiste wzbogacenie się przez wojnę musi być uznane za przestępstwo wobec narodu. Żądamy wobec tego odebrania bez odszkodowania wszelkich zysków wojennych.

13. Żądamy upaństwowienia wszystkich dotychczas zrzeszonych przedsiębiorstw (trustów).

14. Żądamy udziału w zyskach dla pracowników w wielkich przedsiębiostwach.

15. Żądamy szerokiej rozbudowy ubezpieczenia na starość.

16. Żądamy stworzenia zdrowego stanu średniego i jego utrzymania, natychmiastowego umiastowienia wielkich domów towarowych i wynajęcia ich po niskich cenach małym przedsiębiorcom, najszerszego uwzględnienia wszystkich małych przedsiębiorców w dostawach dla państwa, krajów i gmin.

17. Żądamy odpowiedniej reformy rolnej dla naszych narodowych potrzeb, stworzenia ustawy o wywłaszczeniu bez odszkodowania ziemi dla celów ogólnie pożytecznych, zniesienia renty ziemskiej i wzbronienia wszelkich spekulacyj gruntami.

Do tego punktu Adolf Hitler ogłosił 13 kwietnia 1928 r. następujące wyjaśnienie: wobec kłamliwych wykładni 17 punktu programu partji przez naszych przeciwników, konieczne jest następujące ustalenie: ponieważ narodowo-socjalistyczna niemiecka partja robotnicza stoi na stanowisku prywatnej własności, rozumie się samo przez się, że ustęp „wywłaszczenie bez odszkodowania" odnosi się tylko do stworzenia ustawowych możliwości wywłaszczenia ziemi, która została zdobyta w sposób nieprawidłowy lub też nie jest zarządzana według zasady dobra narodu. To zwraca się przedewszystkiem przeciwko żydowskim spółkom spekulacji gruntami. Monachjum 13 kwietnia 1928 r.

18. Żądamy bezwzględnej walki przeciwko tym, którzy szkodzą swoją działalnością interesowi społecznemu. Pospolici przestępcy narodowi, lichwiarze, oszuści i t. d. winni być karani śmiercią bez względu na wyznanie i rasę.

19. Żądamy zastąpienia rzymskiego prawa, służącego materjalistycznemu poglądowi na świat, przez niemieckie prawo pospolite.

20. Aby umożliwić każdemu zdolnemu i pilnemu Niemcowi osiągnięcie wyższego wykształcenia i przez to zajęcie stanowiska kierowniczego, winno państwo wielką pieczą otoczyć gruntowne przebudwanie naszego ogólnego szkolnictwa narodowego. Plany nauczania wszystkich zakładów naukowych winny być dostosowane do wymagań życia praktycznego. Zrozumienie zadań państwowych musi być osiągane przez szkołę (nauka obywatelstwa) już od początku pojmowania.

Żądamy wykształcenia na koszt państwa szczególnie uzdolnionych dzieci biednych rodziców bez względu na ich stan czy zawód.

21. Państwo winno dbać o podniesienie zdrowia narodu przez ochronę matki i dziecka, przez zakaz pracy młodzieży, przez przeprowadzenie usprawnienia fizycznego zapomocą ustawowo ustanowionego obowiązku gimnastyki i sportu, przez jaknajwiększą pomoc wszelkim stowarzyszeniom, zajmującym się cielesnem wychowaniem młodzieży.

22. Żądamy zniesienia wojska zaciężnego i utworzenia armji narodowej.

23. Żądamy ustawowej walki przeciwko świadomemu kłamstwu politycznemu i jego rozpowszechnianiu przez prasę. Dla umożliwienia stworzenia niemieckiej prasy żądamy, ażeby: a) wszyscy kierownicy i współpracownicy gazet, ukazujących się w języku niemieckim, byli członkami narodu *(Volksgenosse)*; b) czasopisma nie-niemieckie winny uzyskiwać wyraźne zezwolenie państwa na ich ukazywanie się. Nie mogą one być drukowane w języku niemieckim; c) będzie zakazane jakiekolwiek uczestnictwo finansowe w czasopismach niemieckich lub jakiekolwiek wpływanie na nie ze strony nie-Niemców i żądamy, jako kary za przekroczenia, zamknięcia tego rodzaju przedsiębiorstwa prasowego, jakoteż natychmiastowego wyrzucenia z Rzeszy uczestniczących w niem nie-Niemców. Czasopisma, które wykraczają przeciwko dobru ogólnemu, winny być zakazane. Żądamy ustawowej walki przeciwko kierunkom sztuki i literatury, które wywierają wpływ rozkładowy na nasze życie narodowe i zamknięcia zakładów, które wykraczają przeciwko powyżej wysuniętym postulatom.

24. Żądamy wolności wszystkich religijnych wyznań w państwie, o ile tylko nie zagrażają trwałości państwa lub nie wykraczają przeciwko obyczajowości i moralnemu poczuciu rasy germańskiej.

Partja jako taka stoi na stanowisku pozytywnego chrześcijaństwa, nie wiążąc się jednak wyznaniowo z jakiemś określonem wyznaniem. Partja zwalcza żydowsko-materjalistycznego ducha wśród nas i poza nami i jest przekonana, że trwałe wyzdrowienie naszego narodu może nastąpić tylko wgłębi nas samych na podstawie: korzyść pospólna ponad korzyścią osobistą.

25. Dla przeprowadzenia tego wszystkiego żądamy: stworzenia silnej władzy centralnej Rzeszy. Bezwarunkowy autorytet centralnego parlamentu politycznego ponad całą Rzeszą i wszelkiemi jej organizacjami wogólności. Stworzenia izb stanowych i zawodowych dla przeprowadzania w poszczególnych krajach związkowych wydanych przez Rzeszę ustaw ramowych.

Przywódcy partji przyrzekają w razie potrzeby złożyć własne życie dla bezwzględnego przeprowadzenia powyższych punktów programu.

Tak więc brzmią owe słynne 25 puktów programu hitlerowskiego, które, jak widać, wychodzą z wyraźnego uświadomienia sobie głównych w tej dobie dziejowej potrzeb narodowych, co do treści swej obejmując najważniejsze jedynie na daną chwilę zagadnienia, nie stanowiąc bynajmniej zupełnego, całokształtnego programu życia narodowego niemieckiego.

Charakterystyczne dla organizacji partji — co do przyszłości tego programu i jego znaczenia w życiu partyjnem — że Adolf Hitler na konferencji przewódców 14 lutego 1926 r. powierza Gotfrydowi Federowi, a więc imiennie wskazanej jednostce, ostateczne rozstrzyganie wszelkich pytań, odnoszących się do programu i autentyczną jego wykładnię (str. 21), a to w związku z różnemi przedłożeniami poprawek.

W sformułowaniu programu najbardziej bodaj interesujące jest, z jak wielką mocą przebija się z każdego zdania i słowa czynna wola polityczna, a nie refleksja, czy też tęsknota. Niema prawie twierdzeń lub wyjaśnień, są tylko same mocno sformułowane żądania. I w objaśnianiu w dalszym ciągu tej pracy myśli zasadniczych *(Grundgedanken)* uderza, jak autor na każdym kroku podkreśla wolę partji, nie zaś jej świadomość czy wiedzę. Punktem wyjścia tych rozważań jest dążenie do wyjścia z „chaosu życia niemieckiego", „ze zbałamucenia mózgów niemieckich".

W całej książce, poza nazwiskiem wodza Hitlera i samego autora, cytowane jest tylko jedno nazwisko Otmara Spanna, byłego rektora Uniwersytetu Wiedeńskiego, autora dzieł: „Prawdziwe Państwo" i „Nauka o społeczeństwie". Autor nie przytacza uzasadnień, opartych na wynikach poznania, lecz raczej podkreśla i uwydatnia pewne hasła, dając ich wykładnię.

A więc, mówiąc o „złamaniu niewoli czynszowej", dodaje: „walka przeciwko kapitałowi giełdowemu i pożyczkowemu". Przy tem oczywiście cytata z Hitlera *„Mein Kampf"* oraz wyjaśnienie (str. 28): „antysemityzm jest w pewnej mierze uczuciową podbudową naszego ruchu. Każdy narodowy socjalista jest antysemitą, ale nie każdy antysemita będzie narodowym socjalistą". Bowiem, wedle zdania autora, narodowy socjalizm opiera się nietylko na negatywnych przesłankach, jak antysemityzm, lecz dąży do prawdziwie konstrukcyjnych rozwiązań. Co się zaś ma rozumieć przez niewolę czynszową, wyjaśnia szeregiem zdań, z których pierwsze brzmią efektownie (str. 29): „Stan narodów, które znajdują się pod panowaniem pieniądza lub czynszu wszechżydowskiej wysokiej finansjery. W niewoli finansowej znajduje się gospodarz wiejski, który, by finansować swój warsztat pracy, musi brać kredyty, ...robotnik, który w fabrykach i warsztatach wytwarza wartości za nędzną zapłatę, podczas gdy akcjonarjusz bez znoju i pracy ciągnie odsetki, tantjemy i dywidendy, ...rzemieślniczy stan średni, który w istocie dziś musi pracować jedynie dla oprocentowania swoich kredytów bankowych" i t. d.

Dla nas, Polaków interesujące są zwłaszcza poglądy narodowościowe (str. 31): „Rzesza niemiecka jest ojczyzną Niemców". Narodowy socjalizm nie dostrzega poprostu mniejszości narodowych, osiadłych w granicach Rzeszy niemieckiej. Nic, ani słówka o zagadnieniu Polaków, Wendów, Łużyczan i innych mniejszości w Rzeszy obecnej. W stosunku do żydów (str. 33) pod względem rasowo-politycznym, „ojczyzna Niemców" znaczy: „wyrzucenie żydów i wszystkich nie-Niemców ze wszystkich odpowiedzialnych stanowisk z życia publicznego. Zmuszenie do wywędrowania z powrotem żydów wschodnich i innych pasorzytniczych cudzoziemców".

Co do polityki państwowej nazewnątrz — wyznanie niedwuznaczne (str. 40): „Nie wyrzekamy się zgoła Niemców w Sudetach, w Alzacji i Lotaryngji, w Polsce, w Austrji, tej kolonji Ligi Narodów, i w krajach sukcesyjnych starej Austrji. To żądanie pozbawione jest wszelkiej imperjalistycznej tendencji, jest to skromne i naturalne żądanie, które stawia sobie i uznaje każda narodowość pełna siły, jako rzecz rozumiejącą się samą przez się". Nie jest jasne, przynajmniej dla nas Polaków, w jakim zakresie obowiązuje narodowych socjalistów (i wogóle wszystkich Niemców) to „niewyrzekanie się", zwłaszcza co do Niemców w Polsce, i zaciekawia nas, w jakim ono stoi stosunku ideowym i praktycznym do świeżo zawartego porozumienia polsko-niemieckiego.

Najpoważniejszem praktycznem zadaniem programu są kwestje polityki gospodarczej, rozwijane przez p. Federa w myśl ogólnej zasady: „zadaniem gospodarstwa narodowego jest zaspokajanie potrzeb, nie zaś możliwie wysoka rentowność kapitału pożyczkowego".

Po obszerniejszych wyjaśnieniach co do polityki finansowej, socjalnej i kulturalnej oraz reformy wojskowej i innych, następuje krótki rozdział: „Czego nie chcemy" — a w nim niespodziewane dla cudzoziemca oświadczenie się nacjonalistów przeciwko pewnym formom tradycji (str. 60): „My nie chcemy powrotu — my nie chcemy obracać wstecz koła historji i wspomagać upadłe dynastje w ich powrocie do życia — one się same osądziły. Niemniej my chcemy ograniczyć dziś zdetronizowane, uprzywilejowane stany w ich dążeniu do powrotu do stanowisk uprzywilejowanych. Oficerowie czy urzędnicy nie są w istocie swej ani wyżsi, ani lepsi, niż jakiś inny zawód, tak dalece wszyscy w duchu naszej idei przedewszystkiem służą całemu narodowi. Nie mundur, nie galon winien tworzyć człowieka *(den Mann machen)*, lecz jego dzieło".

I jeszcze zastrzega się narodowy socjalizm bardzo silnie przeciwko dyktaturom, takiej dyktaturze, do której zmierzała rewolucja powojenna, to jest dyktaturze proletarjatu, jak i takiej dyktaturze, która, zdaniem narodowego socjalizmu, poprzedzała jego rządy — „dyktaturze profitarjatu" — dyktaturze korzystających z konjunktury.

Wedle „słowa końcowego" (str. 62): „narodowy socjalizm jest poglądem na świat, będącym w najostrzejszej opozycji do dzisiejszego świata kapitalistycznego, jego marksistowskich i burżujskich satelitów (trabantów)". To „słowo końcowe" odwołuje się do uczucia i przepełnione jest wiarą.

Całość broszury zdumiewa brakiem uzasadnień i brakiem nawiązywania do tak obszernej przecież literatury politycznej i filozoficznej, poprzedzającej narodowy socjalizm w Niemczech. Ruch odrodzenia narodowego działa nie wspomnieniem, nie wyjaśnianiem, lecz siłą przekonania, wolą realizacji, mocnemi formułami, które łączą się niekiedy z mistycyzmem, a które przedewszystkiem są dziełem entuzjastycznej młodości i wiary w przyszłość.

CZESŁAW ODROWĄŻ

GEOGRAFJA TALENTÓW WIELKOPOLSKICH

I

W PIĘKNEJ książce swojej *„La fleur des histoires françaises"* (Paryż 1911), poświęcił nestor dzisiejszej historjografji francuskiej, Gabrjel Hanotaux, rozdział osobny pojęciu „ojczyzny francuskiej". Zanalizował w tym rozdziele plastycznie różnorakie rasy, co złożyły się na aliaż narodowości francuskiej, rasy zrazu często sobie wrogie, w chwili, kiedy się ze sobą spotkały w tym wybranym kącie kontynentu europejskiego. Maluje on tam więc — jako najsprzeczniejsze kontrasty — Flamanda z północy, wysokiego, masywnego blondyna, pełnego rozwagi, przemyślności i namysłu (typ-ideał: Albert belgijski) i południowca francuskiego, przemieszanego nawskroś krwią napływową, nietylko od sąsiadów, ale i dalszą: saraceńską czy żydowską. Cytuje też Hanotaux ze skarbnicy „mądrości narodów" owe przysłowia i gadki, charakteryzujące i odcinające od siebie poszczególne typy, jak: „Normandowie — żaden ni tak, ni nie, nie powie"; „99 owiec i jeden Szampańczyk, czynią razem 100 bydląt"; „Pikardzie, dom Twój się pali! — Co mnie to obchodzi, mam klucz od mieszkania".

A czy i u nas istnieją podobne podziały i przedziały rasowe: co różni i co dzieli „chłopców Krakowiaków" od Mazurów, synów „Świętej Żmudzi" od apatycznych Pińczuków, trzeźwych Wielkopolan od bujnych Rusinów? Aby na takie pytanie dać sobie odpowiedź, może najtrafniejszą okaże się metoda, obrana świeżo przez regionalistę — uczonego wielkopolskiego, p. Szyperskiego, wykazująca *„l'apport de la race"* regjonu wielkopolskiego do wspólnej skarbnicy talentów, a więc i kultury narodowej[1]).

II

P. Szyperski rozkłada przed nami mapę Wielkopolski z jej grodami, siołami, przecinającą ją wskroś wstęgą Warty i jej południowym klinem, wrzynającym się w ziemię śląską. A potem wędruje z nami wzdłuż i wszerz owej mapy, zatykając z radością w ośrodkach jej chorągiewki, znaczące postępy cywilizacji narodowej, *„éclosion"* talentów wielkopolskich.

Wyruszamy z nim razem od granicy Śląska, tymsamym szlakiem, co łączył niegdyś dwie najstarsze stolice nasze: Kraków i Poznań. Obejmijmy wzrokiem czworobok: Leszno — Gostyń — Krotoszyn — Ostrów!

„Niejako bramę do południowej Wielkopolski" — pisze p. Szyperski — „stanowi sławne Jurkowo nad Obrą, niedaleko Krzywinia, w południowej części powiatu kościańskiego. Tu się rodzili bracia Morawscy, Kazimierz i Zdzisław. Kazimierz (1852 — 1925) był jednym z najlepszych znawców świata starożytnego obok Niemca Wilamowitz-Moellendorfa, pochodzącego z kujawskich Markowic i Tadeusza Zielińskiego... Zdzisław, minister dla Galicji w czasie wojny... badał kulturę włoską"...

Ale Kościańskie to, a z niem i cała południowa Wielkopolska, uchodzić wogóle może za rezerwoar talentów literackich, w szczególności zaś filologiczno-historycznych, i to od średnich wieków począwszy.

Uniwersytet bowiem Jagielloński, którego historjografem naczelnym miał po pięciuset latach istnienia zostać właśnie syn ziemi kościańskiej, miał już na pięćset lat przed tym Morawskim za rektora innego kościańczyka, Andrzeja z Kokorzyna (1408), posła na sobór w Konstancji i kanclerza królowej Sonki Jagiełłowej. Inny rektor ówczesny wszechnicy Jagiellońskiej, Tomasz Strzempiński, później biskup krakowski (w jego cudownej, drogocennej infule występuje z reguły dzisiejszy arcybiskup, ks. Sapieha, podczas uroczystej rezurekcji wawelskiej) — to także kościańczyk!

Wiek XVI-ty przeorywa południową tę połać Wielkopolski zagonami „Reformacji". W Lesznie mianowicie zakładają jeden z głównych bastjonów swoich na ziemiach Rzeczypospolitej — kalwini, tuż obok — w Bojanowie — wre ruch luterski. Ale i „Odrodzenie" znaczy się w tym zakątku swemi śladami. I tak, na samem pograniczu Śląska, w ziemi wschowskiej, rodzi się w roku 1482 Andrzej Krzycki, prymas Polski, ale zarazem i frywolny liryk-humanista, którego poezje wyda z czasem „krajan" jego i nieodległy nawet sąsiad, wspomniany już przez nas parokrotnie Morawski. Nieco na zachód urodził się też później poeta Wisły, Sebastjan Klonowicz; Smogorzew pod Gostyninem dzierżawił literat barokowy, Kacper Miaskowski. Ale wiek XVII-ty skupia kulturę tej południowej Wielkopolski głównie wokoło Leszna; po Ostrorogach i Górkach występuje teraz coraz wyraźniej na widownię ród Leszczyńskich, reprezentowany (w tem stuleciu) przez Rafała, „ojca króla Stanisława, i ród Opalińskich (z którego pochodziła matka króla)".

Czworobok leszczyńsko-ostrowski uchodzić może jednak w pierwszym rzędzie za „kwadrylater filologiczny". I tak, pod Ostrowem, urodził się w nim jeszcze Antoni Kalina, autor pierwszej historji języka polskiego (1846 — 1906); pod Lesznem — Bolesław Erzepki, zasłużony kustosz zbiorów poznańskich w najcięższej dobie ucisku (1852—1932); pozatem — pod Jutrosinem — przyszedł na świat jeden z najwybitniejszych historyków polskich, Ksawery Liske.

Wiek XIX-ty dorzucił więc plon obfity do wieńca zasług kulturalnych południowej Wielkopolski. Kilkadziesiąt lat życia przeżył na tej rubieży inny znowu Morawski (Franciszek, generał-poeta), w lubońskim „Dworcu swego dziadka" (1783 — 1861). Niedaleko stąd, we wspomnianym już przez nas wyżej Jurkowie, chował się znów ks. Rogaliński (Józef, 1728 — 1802), zasłużony filozof i przyrodnik. W samym Kościanie, r. 1846-go, przyszedł na świat znany przemysłowiec i publicysta galicyjski, Stanisław Szczepanowski († 1900).

Ale inne też Muzy zagnieździły się w tym życiodajnym klinie: pod Lesznem rodził się w roku

---

[1]) Szyperski Alfons: „Geografja talentów wielkopolskich". Poznań — Września 1934, „Bibljoteka Wici Wielkopolskich", str. 46.

1785 Karol Kurpiński, pionier opery narodowej, kierownik teatrów warszawskich; synami południowej Wielkopolski byli taksamo: malarz-portrecista Leon Kapliński (1826 — 1873) i rzeźbiarz Władysław Marcinkowski (ur. 1858).

III

Teraz zaś — z Kościańszczyzny — posuńmy się, wraz z autorem, na północ: ku właściwym ośrodkom prowincji, ku Poznaniowi i Gnieznu. Przechodzimy tak najpierw na trójkątną linję centralną: Poznań — Września — Śrem.

Poznań wydaje zrazu gwiazdy słabszego tylko blasku: poetów polsko-łacińskich, jak Mikołaj z Poznania czy Tomasz Greter; teologów, jak Walenty Wróbel, Stanisław Grodzicki czy Mateusz Bembus i lekarzy, jak sławny zresztą w Europie Józef Struś, profesor uniwersytetu padewskiego, twórca nauki o pulsie (1510 — 1568).

Dopiero era Stanisława Augusta przynosi nam tu Hoene-Wrońskiego (rok urodzenia: 1778 czy 1775); po nim — w lat kilkadziesiąt — rodzi się tamże inny filozof, Karol Libelt; dwoje tych urodzin inauguruje pierwszą świetną epokę w duchowości Poznania, o której — satyrycznie — pisał syn tej ziemi, Berwiński:

> O Poznańskie!
> to nasze polsko-germańskie,
> arysto-demokratyczno-pańskie,
> filozoficzno-kapłańskie...

Z Glinna pod Poznaniem pochodził reformator teatru polskiego Bogusławski (1757 — 1829); z innych okolic wymienionego trójkąta poznańskiego — po Wojciechu z Brudzewa, nauczycielu Kopernika — poczet uczonych młodszych, jak np. Edward Likowski, arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, historyk Unji (1836 — 1915), jak — dalej — filolog Przyborowski, profesor Szkoły Głównej w Warszawie, jak lekarz Święcicki, pedagog Danysz, prawnik Cybichowski...

IV

> Ojciec, poczciwy mieszkaniec wioski
> orał spokojnie grunt pradziadowski.

Wiersz to Klemensa Janickiego, a wioska, którą w nim opiewa — to Januszków pod Żninem gnieźnieńskim, ojczyzna tegoż poety-laureata, który uwieńczony został na Kapitolu (1510 — 1543). I jak Krzycki Morawskiego, tak znalazł, po latach, Janicki biografa w innym filologu, żyjącym po dziś dzień Ludwiku Ćwikińskim (ur. 1853), b. austrjackim ministrze oświaty. Gnieźnieńskie to także ziemia filologów — od Kopczyńskiego począwszy (1735 — 1817), rodem z Czerniejewa, autora pierwszej naukowej gramatyki języka polskiego, poprzez Wawrzyńca Surowieckiego (1767 — 1827), prehistoryka Słowiańszczyzny, Hipolita Cegielskiego (1815 — 1868), Władysława Nehringa (1830 — 1909), rektora uniwersytetu wrocławskiego, autora pierwszej monografji naukowej o „Psałterzu florjańskim” i t. p.

Starożytne Trzemeszno wydaje inną Magnificencję: ś. p. ks. Kazimierza Zimmermanna, Mielżyn zaś pod Wrześnią historyka Kościoła i parlamentarzystę, ks. Władysława Chotkowskiego.

V

Z Gniezna już tylko skok na Kujawy, do tej kolebki kultury naszych Polan. „Tradycja tu najstarsza” — pisze autor — „rasowość najczystsza, gleba najurodzajniejsza”... Może właśnie jednak dlatego, że kraj to „tłustej szlachty”, po laury poetyckie zgłasza się ziemia ta najpóźniej, coprawda w osobach: sławnego liryka Jana Kasprowicza z Szymborza (1860 — 1926) i utalentowanego dramaturga Stanisława Przybyszewskiego z Łojewa (1868 — 1927).

Sąsiednie za to Pałuki wydają sławnego ks. Wujka (ur. w Wągrowcu r. 1540), potem zaś — po dłuższej przerwie — dwóch braci Śniadeckich (urodzonych w Kcyni: Jan w roku 1756, Jędrzej zaś w roku 1768); pogranicze polsko niemieckie — kronikarza Janka z Czarnkowa, pisarza politycznego Jana Ostroroga, kompozytora muzycznego Wacława z Szamotuł, głównego członka sławnej kapeli Rorantystów, założonej przez Zygmunta Starego; Stanisława Reszkę, sekretarza Hozjusza; teologa — Jakóba z Paradyża; dyssydentów Jonstona i Węgierskiego i t. d. Nad wszystkich ostatnio wymienionych wzniósł się wszakże w literaturze polskiej najwyżej Stanisław Staszic (1755 — 1826), mieszczanin z kresowej Piły, dzisiejszej „Schneidemühle”, a po nim zasłynął znów filolog, Antoni Małecki z Objezierza (1821 — 1913), odkrywca Słowackiego i gramatyk. „*J'en passe et des meilleurs*”.

VI

Wnioski autora:

1) Najlepszymi wynikami może się Wielkopolska poszczycić na polu nauk filologiczno-historycznych. To jej dorobek zasadniczy. Sprzyjały temu i warunki historyczne, pozytywne (Niemcy uważali filologję za koronę nauk humanistycznych, świetnie rozwijały się gimnazja filologiczne) i negatywne (utrata państwowości) oraz dyspozycja psychiczna Wielkopolan do tego typu badań.

2) W dziedzinie dociekań historycznych trzeba podkreślić wybitny udział duchowieństwa, więcej zorganizowanego tu naukowo, niż w reszcie Polski.

3) Z kolei osiągnęła Wielkopolska trwałe wyniki na terenie badań przyrodniczych, szeroko pojętych.

4) W zakresie literatury pięknej sytuację uratowały Kujawy. W dziedzinie sztuk plastycznych — „wprost beztalencie”. Wielkopolanin, to pozytywista, nie lubiący poezji, gardzący fantazją jak Anglik, mierzący zamiary na siły jak Amerykanin, nie zaś siły na zamiary jak Mickiewicz — romantyk... Typ logizujący, ostrożny, zamknięty w sobie, skłonny do egoizmu, nierewolucyjny. W takich warunkach trudno szukać genjuszów. Przeszkadzała ich „eklozji”, zdaniem autora, także i germanizacja rasy rdzennej, przyczem Chodzież, Wieluń, Międzychód, Zbąszyń, Babimost, Wolsztyn były o wiele więcej zagrożone falą germanizacji, aniżeli np. Gniezno, Września i Poznań. Ale Wielkopolanie promieniowali, pomimo tego, do innych też ziem polskich (sześciu wykładało niegdyś w warszawskiej „Szkole Głównej”, inni we Lwowie, Krakowie, Wilnie itd.).

Pożyteczne wydawnictwo regjonalistyczne!

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

NA WIDOWNI

Wspomnienie dr. Michała Janika o Hipolicie Śliwińskim. — Wersja galicyjska genezy niepodległości. — Politycy galicyjscy i „fraki". — Al. Lednicki w roli Wernyhory. — Inscenizacja polityczna „Wesela". — *Et la tristesse de tout cela.*

WERSJA galicyjska genezy „niepodległości". Wyszła właśnie świeżo z pod prasy. Jest nią książka dr. Michała Janika p. t. „W służbie idei niepodległości. Pamięci Hipolita Śliwińskiego. Wspomnienia". (Kraków 1934. Z 16 ilustr. Str. 99).

Janik jest doktorem filozofji, filologiem, polonistą; dziś jest na emeryturze. Ma za sobą ładne prace, ostatnio bardzo chwalono jego książkę o Polakach na Syberji. Wspomnienia, które teraz ogłasza, dotyczą jego działalności politycznej (od r. 1905 do końca wojny). Wydają mi się bardzo charakterystyczne dla owej epoki, tak pamiętnej w życiu Polaków, których fala zdarzeń niosła do progu odrodzonego życia państwowego w zjednoczeniu i niepodległości.

Dr. Janik patrzy na te zdarzenia i ustosunkowuje się do nich, jak romantyk, bo z tej szkoły polonistyczno-politycznej pochodzi. Jest też radykałem, żyje w czasach ruchu ludowego i socjalistycznego. Zasadniczym jednak rysem jego postawy, jako Polaka, było poczucie, że pokoleniu jego przypada rola wykonywania testamentu poetów romantycznych. Droga do odbudowania Polski według tego widzenia politycznego prowadzić musiała przez celę Konrada, śladami Kordjana. W każdym razie nie inaczej, tylko od miejsca, na którem utknęły powstania r. 1830 i 1863. Jego starszy kolega po fachu prof. Józef Kallenbach w r. 1914, kiedy wybuchła wojna, ze zgorszeniem słuchał o „orjentacjach", od których trzeszczała głowa ludziom, poczuwającym się do odpowiedzialności za swoją rolę w wypadkach. Społeczeństwo było zaniedbane w myśli politycznej. W ciężkiej rozterce wołano, co robić? Kallenbach ogłosił wtedy artykuł w zbliżonym do p. Janika organie „Gazecie Porannej" (Lwów), którego treścią było: jedyna rada dla uczciwego Polaka wczytywać się w poezję wielkich wieszczów. Przestał się kłaniać tym, którzy myśleli inaczej.

Dla polityka realnego była to metoda patrzenia na rzeczy przez odwróconą lornetkę. Czytając książkę dr. Janika — bardzo zresztą interesującą — nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mi opowiada o rzeczach i ludziach marzyciel, właśnie tak na świat patrzący.

— — — — — — — — — — — —

Książka Janika, według jego intencji, ma być pamiątką po śp. Hipolicie Śliwińskim (zm. 1932) i hołdem dla niego. Śliwiński bowiem, jego zdaniem, położył „szczególniejsze" zasługi „około propagandy i organizowania myśli niepodległościowej w narodzie polskiem" w okresie przedwojennym. Myśl tę autor wywodzi z Konfederacji Barskiej, dojrzała zaś ona w powstaniach. Dzieje Śliwińskiego są poniekąd streszczoną historją tego wyrazu i urobionego stąd przymiotnika „niepodległościowy". Powstał on w Galicji za pozwoleniem władz na szereg lat przed wojną. Był to wyraz magiczny, mający specjalne znaczenie hasła powstańczego dla zaboru rosyjskiego i w tem znaczeniu był istotą owej „orjentacji", łączącej przyszłość Polski z losami, jakie spotkają Austrję w rozgrywce z Rosją.

Janik zetknął się ze Śliwińskim w r. 1905. Był to czas rewolucyjny w Królestwie, nazywany w Galicji nowem „powstaniem". Socjaliści mieli oparcie w Galicji. Śliwiński był w blizkich z nimi stosunkach, aczkolwiek sam mienił się postępowym demokratą. Śliwiński nie był socjalistą, ale uwierzył w ideę powstańczą ruchu rewolucyjnego socjalistów. Dla nich zaś stał się punktem zaczepienia o pielęgnowane w Galicji tradycje powstańcze. Jak się później pokazało, doskonale wykorzystali ten wskrzeszony prąd. Na tem połączeniu rewolucji z ideą powstania wyrosła koncepcja późniejszego NKN'u. Austrja potem mogła korzystać już jawnie z tej koncepcji, ale w r. 1905 oczywiście nie mogła się przyznać do tego, że sprzyja rewolucji w Królestwie Polskiem, zostawiając sprawę inicjatywie społeczeństwa polskiego. Sprawę wzięła w ręce masonerja.

Janik poznał się ze Śliwińskim w domu Bolesława Wysłoucha. Rzecz dziwna — zaznacza to Janik — „Kurjer Lwowski" był organem Stronnictwa ludowego, a gromadzili się tam ludzie z innych obozów: Benedykt Dybowski, bracia Lisiewiczowie, Tadeusz Rutowski, T. Dwernicki, Lewakowski, Mendelsohn, Br. Laskownicki, prof. Pawlewski, Schleicher, Leser, Michał Grek, stolarz Szafrański, jakiś metrampaż, Albin Kohn, Tobjasz Aszkenaze. Dr. Janik, trzydziestoletni polonista, świeżo do Lwowa przybyły, nie zdawał sobie z tego sprawy, że znalazł się pośrodku masonerji. Z książki jego wnosić można, że do tej pory tego nie wie, bo inaczej — wiele rzeczy traktowałby dyskretniej.

Zaprzyjaźnił się ze Śliwińskim, szereg lat z nim pracował, był mu pomocą intelektualną, jak widać z ogłoszonego tekstu, pisał mu mowy polityczne, a jednak nie poznał go. Sam to przyznaje:

„Starszy o ośm lat w stosunku do mnie występował zrazu w roli przodownika i mistrza i dopiero po pewnym czasie otworzył mi swój dom i zaczął mnie traktować jako współmyślącego przyjaciela i towarzyskiego rówieśnika. A i wtedy nie zawsze dopuszczał mnie bezpośrednio do wszystkich pociągnięć praktycznych, chociaż pytał się przeważnie co do *meritum* jakiejś sprawy, której strona zakulisowa nie była mi znana. — Ty jesteś do obmyślania, tworzenia i formułowania ideologji — mówił czasem półżartem — pisz i wykładaj"... (s. 10).

Śliwiński sam nie miał wyższej kultury umysłowej, pomoc dobrego pisarza była mu przydatna.

„Dlatego też" — pisze dalej Janik — „niejedno w pociągnięciach praktycznych Śliwińskiego było dla mnie tajemnicą. Dzisiaj nawet, po jego śmierci, nie umiałbym powiedzieć, co przedewszystkiem było tego przyczyną: czy bardziej skrytość usposobienia i konieczna konspiracyjność, czy może więcej jeszcze moja przeczulona delikatność"... (11).

Czy nie mam racji, mówiąc o odwróconej lornetce? A ten sposób widzenia dotyczy nietylko tego personalnego stosunku. Cała rzeczywistość historyczna i polityczna jest dla tego typu umysłowego czemś odległem i niejasnem. Dr. Janik opowiada o wiecu, zwołanym we Lwowie w r. 1905 przez obóz narodowy z powodu zaburzeń rewolucyjnych w Warszawie. Przewodniczył Wojciech Biechoński.

„Hipolit Śliwiński" — pisze autor — „postawił po mocnem przemówieniu rezolucję, że należy korzystać z zamętu w Rosji i dążyć do wywołania rewolucji na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego. Wywołało to silny odruch wśród

narodowych demokratów; zwłaszcza redaktor „Muzeum" Bolesław Mańkowski zaatakował bardzo gwałtownie Hipolita Śliwińskiego i zaczął się rozwodzić nad robotą masońską *pour le roi de Prusse"*.

Doszło—ile pamiętam — do tego, że Mańkowski skierował się ku Śliwińskiemu z podniesioną ręką, chcąc go spoliczkować. Śliwiński rzucił się przeciwnikowi w objęcia i ucałował. Uchwalono oczywiście rezolucję, piętnującą myśl rewolucji. Wtedy dr. Janik, jak sam teraz opowiada — krzyknął: „Grabarze!" „Wszczął się zgiełk, usiłowano zaatakować mnie czynnie, koniec końców wstrzymano się od czynnej zniewagi"...

Hasło „niepodległości" w r. 1905 nie było jeszcze znane, ono się zrodzi koło r. 1910, ale przygotowania do akcji zbrojnej, jak wyznaje dr. Janik, datują się od r. 1905.

— — — — — — — — — — — —

Przedtem Śliwiński polityką się nie porał, zwłaszcza na terenie sprawy polskiej. Należał do obozu liberalnego, który miał swoje organy w brukowym „Wieku Nowym" i „Gazecie Porannej" (główną rolę odgrywał tam, jako wydawca, Tobjasz Aszkenaze). Był budowniczym, choć wyższych studjów architektonicznych za sobą nie miał. Pozostawał w stosunkach z Wiedniem jako przedsiębiorca budowlany, stawiał głównie więzienia i szkoły. Żywego był temperamentu i wiele miał zalet towarzyskich, jako człowiek odznaczający się łatwością obcowania z ludźmi wszelkich przekonań politycznych. Radykalizm jego był nieraz bardzo naiwny. Kultury filozoficznej nie miał zgoła, ale pamiętam, jak dumny był ze swego udziału w kongresie „monistów", zdaje się we Frankfurcie. Był wtedy posłem do parlamentu wiedeńskiego. Gdy wyrzucał posłowi Loewensteinowi ze Lwowa, że pomimo swej wolnomyślności na kongres nie pojechał, odrzekł mu ten z ironją, że żydzi mają ważniejsze sprawy na głowie. Śliwiński z powodu swych zalet towarzyskich cieszył się sympatją, w każdym razie popularnością. Zwano go pospolicie Hipciem, albo Tatuńciem. Każdy chętnie podnosił zalety nie tyle jego charakteru, ile temperamentu, nikt nie brał na serjo jego przekonań politycznych.

Książka dr. Janika jest w charakterystyce tego działacza hołdem składanym jego temperamentowi, a zwłaszcza jego szczodrobliwości. Pamiętam, wiele się mówiło przed wojną od r. 1905 o jego wielkich dochodach jako budowniczego. Żył beztrosko, duże sam miał potrzeby i rękę miał hojną. W Galicji była bieda, człowiek z gotówką chodził w glorji. Nie chodził, noszono go na rękach. Dr. Janik tak ofiarność Śliwińskiago charakteryzuje:

„Ofiarność Hipolita Śliwińskiego w okresie od r. 1905 do r. 1914 na subwencje różnego rodzaju, na cele militarne, potem strzeleckie, na zakupno karabinów, mundurów, nawet na wyżywienie starszej i młodszej drużyny, wynosząca w sumie bezmała 400.000 przedwojennych koron austrjackich, może kiedyś znajdzie swego historyka. W każdym razie należy się to Śliwińskiemu od potomności, choćby jako elementarny dług wdzięczności" (s. 33).

W latach późniejszych, kiedy już istniały organizacje wojskowe i obok nich skarb wojskowy zasilany jawnie (Janik streszcza w książce sprawozdanie kasowe), Śliwińskiemu było pewno lżej, kwotę więc 400 tys. kor. austr. Śliwiński wydał pewno głównie w latach 1905 — 1910, wciągu 5 lat. A ta kwota odpowiada dzisiejszym conajmniej 800 tys. złotym. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na dr. Janiku robił widok budowniczego, odrzucającego ze swych zarobków rocznie koło 160.000 zł.!

Popularność Śliwińskiego rosła. W r. 1906 wybrano go do rady m. Lwowa, w r. 1911 do wiedeńskiej Rady Państwa. Rosły też wpływy polityczne.

— — — — — — — — — — — —

Pracujący tak dla Polski lwowianie nie znali jeszcze zaboru rosyjskiego, w którym zamierzali insurekcję.

„Niespełna w rok" — pisze Janik — „po wyborach do Rady miejskiej, zaszły okoliczności, które pozwoliły H. Śliwińskiemu i jego przyjaciołom politycznym nawiązać bezpośrednie stosunki osobiste z rodakami w Warszawie... Asumpt do tego dał przyjazd (do Lwowa) Aleksandra Lednickiego na osąd sprawy Stan. Brzozowskiego... Grupa nasza polityczna we Lwowie urządziła wtedy przyjęcie w hotelu George'a, na którem Aleksander Lednicki i kilka jeszcze osobistości z Warszawy byli podejmowani przez nas jako goście. Koszta przyjęcia pokrył oczywiście Hipolit Śliwiński, Wymiana myśli, jaka wtedy nastąpiła, wykazała tyle wspólności zasad w istotnych zagadnieniach narodowych i społecznych, że potrzeba nawiązania wspólnej obuzaborowej tajnej organizacji politycznej narzuciła się nam wszystkim, jako pewnego rodzaju konieczność. W ściślejszem kółku ułożono dalszy tok postępowania i pożegnano się z otuchą w lepszą przyszłość"...

Ktoby pomyślał, że działacz rosyjski Al. Lednicki musiał przybyć z Moskwy, aby nawiązać między Lwowem a Warszawą stosunki i że on właśnie natchnął patrjotów polskich „otuchą w lepszą przyszłość". Czy nie przypomina to wam „Wesela" i Wernyhory?

„Już następnego roku" — czytamy dalej — „wyjechaliśmy według umowy i na dyskretne zaproszenie do Warszawy. Gospodarzem naszym na gruncie warszawskim był Aleksander Lednicki... Zbieraliśmy się w różnych miejscach.., Grono, w które nas wprowadzono, składało się przeważnie z przyjaciół „Prawdy" i „Zarania"... Znajdowali się tam: Al. Lednicki, Wacław Łypacewicz, Józef Jabłoński, Kaz. Życki, Kempner, Wincenty Rzymowski, Irena Kosmowska, Maks. Malinowski, Tomasz Nocznicki i in. Omówiliśmy aktualne wówczas zagadnienia samorządu Królestwa, bojkotu szkolnego... W ciaśniejszych kółkach omawiano poufnie sprawy organizacyjne... Węzły zacieśniały się, chociaż poprzestawano raczej na ramowych wskazaniach, mniej na szczegółach, któremi zajęli się osobno najbardziej wtajemniczeni. Już wtedy także padły wyraźne słowa o przysposobieniu wojskowem młodzieży"...

Takie to były początki pewnych orjentacyj politycznych. Później Janik opowiada, jak pozyskano do tej akcji „Wiek Nowy". Śliwiński „nabył w tym celu znaczną ilość udziałów tego wydawnictwa, ażeby Laskownicki znajdował w nim oparcie". W ten sposób „Wiek Nowy" „doszedł do wysokości poważnego organu politycznego i jedynego przed wojną na ziemiach Polski jawnie zdecydowanego programowo dziennika niepodległościowego". Poza tem Śliwiński subsydjował dzienniki socjalistyczne: „Głos" we Lwowie, „Naprzód" w Krakowie, „Przedświt" w Londynie, „Robotnika" (nielegalnego), ukraińskie „Hasło", „Placówkę" Perla, „Promień" (s. 16).

„Hojna ręka H. Śl. — to wgóle osobna, niezwykła, wielokartowa księga. Ileż nazwisk i jakie są są na tych kartach zapisane: Bolesław Limanowski, Tadeusz Rutowski, Ignacy Daszyński, Józef Piłsudski, Witold Jodko, Artur Hausner, Wład. Studnicki, St. Przybyszewski i sporo innych (Jerzy Żuławski). A wszystko to pocichu, tak delikatnie robione, ażeby nawet lewica nie wiedziała, co daje prawica". (s. 17)

Rok 1910 był w tej robocie szczególnie ważny. Był już Klub społeczno-naukowy (prezes Śliwiński), a teraz powstało „stronnictwo niepodległościowe" pod nazwą: Polskie Str. Postępowe. Byli

tam demokraci, jak Rutowski, ale w jakiś sposób Śliwiński przeprowadził filjację z socjalistami, nawet ukraińskimi.

„Lata następne“ — pisze Janik — „aż do wojny światowej schodziły nam przedewszystkiem na dalszem usilnem zdobywaniu opinji publicznej dla idei niepodległościowej i na przygotowaniu kadr militarnych pod protektoratem Józefa Piłsudskiego, którego nazwisko, jako hasło, obaj z H. Śliwińskim reklamowaliśmy celowo z całą usilnością, chcąc je przeciwstawić popularnemu wtedy w Galicji nazwisku Stanisława Głąbińskiego” (s. 47).

— — — — — — — — — — — —

O robotach militarnych, zajmujących wiele kart w książce Janika, nie będę szerzej referował. Znane są. Janik pisze o Związku Walki Czynnej, potem o Związku Strzeleckim (prezes Śliwiński), o Polskim Skarbie Wojskowym i t. d. Przytoczę jeden fakt:

„W sprawie militarnej Hipolit Śliwiński uczynił niezadługo poważne posunięcie. W r. 1912 umiał dotrzeć ze sprawą polskich organizacyj strzeleckich do kancelarji wojennej arcyks. Ferdynanda, austrjackiego następcy tronu, zainteresowawszy ją znaczeniem zaboru rosyjskiego na wypadek ewentualnej wojny rosyjsko-austrjackiej”.

Memorjał, złożony przez Śliwińskiego, miał nagłówek następujący: „Znaczenie Polaków zaboru rosyjskiego ze stanowiska militarnych interesów Austrji“ *(Bedeutung der Russisch-Polen vom Standpunkt der militärischen Interessen Oesterreichs).*

„D. 6 grudnia 1912 r. H. Śliwiński przedstawił w tejże kancelarji wojennej sprawę naszych organizacyj strzeleckich, na co adjutant przyboczny z najwyższego upoważnienia w liście poufnym *(geheim!)* uniżenie go poprosił, ażeby zwrócił się z tą ważną propozycją do ministerstwa obrony krajowej” (s. 47).

Memorjał zawierał w art. 4 taką propozycję:

„W dzisiejszych stosunkach powstanie polskie da się pomyśleć tylko w jednym wypadku: na wypadek wojny rosyjsko-austrjackiej. Według zgodnego pojmowania irredentystów insurekcja mogłaby ułatwić postępy wojsk austrjackich i przy energicznem wystąpieniu Austrji sprowadzić pomoc narodu polskiego. Doniosłość powstania polskiego dla przebiegu wojny zależy jednak całkowicie od stanu ruchu rewolucyjnego. W każdym razie samo istnienie jakiegoś ruchu wystarczy, ażeby zapewnić armji austrjackiej współudział ludności w służbie wywiadowczej, wywołać masową dezercję licznych oddziałów ochotniczych”... (s. 48).

— — — — — — — — — — — —

Tak sobie Polskie Stronnictwo Postępowe planowało przyszłość niepodległościową Polski. Nie zdawano sobie sprawy z istoty sprawy polskiej, nie znano narodu i jego ciążeń, nie zdawano sobie sprawy, że Polska samym ciężarem swego biegu historycznego przeciwstawi się wysiłkom galicyjskich polityków, usiłujących zepchnąć ją z toru. Działa się rzecz, powiedzieć można, kosmiczna, którą trzeba było wysiłkiem pracy umysłowej zrozumieć i przewidzieć. Dyplomacja — i to całe szczęście dla Polski — jakby nie spostrzegła tych wysiłków galicyjskich. Nie wpłynęły one na rezultat sprawy, o ile chodzi o bilans polityczny wojny. Ale bardzo zaciążyły na stosunkach wewnętrznych w Polsce, choćby dlatego, że ten nie zużytkowany materjał rewolucyjny pozostał w Polsce i organizm musi go biologicznie w siebie wessać. A to wymaga czasu i wiele powoduje cierpień.

— — — — — — — — — — — —

Opowieść d-ra Janika ma niepospolitą wartość historyczną i literacką, daje bowiem obraz ówczesnej ineligencji, oddanej na wychowanie masonerji. Nie było wówczas talentu powieściowego, któryby obserwacje przeniósł do powieści lub do komedji. Jakaż to bogata galerja typów, od Śliwińskiego poczynając, potem Tadeusza Rutowskiego, szlachcica, udającego demokratę z Rewolucji francuskiej, żydów wiedeńskich za pan brat w sprawie polskiej z tromtadratami; nawet epizodyczne role dziennikarzy lub literatów (Przybyszewski i Żuławski). Wiele osób ujawnia się w listach do Śliwińskiego, dołączonych do książki. Każdy dziękuje za pieniądze i coś obiecuje robić dla niepodległości, o ile dostanie pieniądze.

W jednym z tych listów, mianowicie Jana Stapińskiego, ujawnia się to, czego autor w tych wszystkich robotach nie spostrzegł, że główne sprężyny ruchu ukryte są w Wiedniu. Są tam tacy polscy austrjacy, jak prezes Koła Polskiego Jaworski, albo minister Biliński. Pragną oni wygodzić Austrji kosztem Polski, demoralizują politykę Galicji przy pomocy konserwatystów. Pamiętamy, jaki skandal wynikł z powodu rewelacji konserwatystów, że Stapiński czerpie na ruch ludowy ze skarbu. Stapiński pisze do Śliwińskiego w grudniu 1915 r:

„Powiem ci otwarcie: do tych ludzi, którym ty jeszcze ufasz (NKN), ja nie mam wiary. W ich oczach Jaworski jest przewódcą i prezesem, a dla mnie jest on tylko ajentem austrjackim, używanym do szerzenia korupcji. Pamiętaj Hipolicie: on twierdził, że mi pożycza pieniądze swego stronnictwa na kupno gazety, a potem się okazało to kłamstwem i nikczemną zasadzką, bo on moje kwity, wystawione na Prawicę Narodową, eskontował w austrjackiej kasie gadzinowej. Jaworski prowadzi tam, gdzie mu rozkaże hr. Stuergkh. Kto tego nie wie, ten z pewnością odpokutuje tę nieświadomość” (s. 94).

Opowieść galicyjska o rycerzu Niepodległości Śliwińskim kończy się minorowo:

„Na ostatnie lata życia H. Śliwińskiego padł cień smutku i tłumionej goryczy. Odsunięty od pracy politycznej, która była jego żywiołem, zanurzył się w sprawy miejskie we Lwowie, snuł śmiałe projekty budowlane, ale była to już tylko ucieczka przed smutkiem duszy” (s. 67).

Czyżby nie dawało mu radości, że Polska odzyskała niepodległość? Nie to. Bolało go, że został odsunięty od grona, któremu drogi do niepodległej Polski ułatwiał.

— „Dzisiaj — pisze w liście z r. 1929 — jestem już dla pewnych ludzi za ubogi, aby mnie ktoś potrzebował“.. (s. 69).

To jego grono ocalało dla życia o tyle, o ile wylegitymowało się służbą ofiarną na polu bitew. Politycy zbankrutowali i stali się istotnie niepotrzebni tam, gdzie życie popłynęło już z nowych uzasadnień — w posiadanej na użytek wewnętrzny sile. Niepotrzebny też stał się Aleksander Lednicki, który przecież wydawał się być w jeszcze wyższym stopniu opatrznościowym mężem owej legendarnej Niepodległości.

„W tej roli ani ja pierwszy, ani ostatni z dawnego świętego dla nas „Zakonu niepodległościowców”... Życie młodych płynie nowym prądem czasu ponad osiwiałe głowy, więc o jakieś uznanie obecnej polskiej rzeczywistości nie dbam”... (s. 69).

Książkę dr. Janika przeczyta każdy z zainteresowaniem. Ma ona urok literacki właśnie z powodu swej naiwności baśniowej, operującej konkretami, a odsuwającej, jak przez odwróconą lornetkę, istotne tło dziejowe w jakąś dal niewidzialną. Kto zna historję tych lat, czuje się przy tej książce, jak na „Weselu” Wyspiańskiego. Mnie podwójnie ta relacja zainteresowała. Na tem weselu bowiem byłem i na zakończenie, jak w bajce, mógłbym powiedzieć: „miód — wino piłem”. Ale nie mogę tego powiedzieć, piłem bowiem gorycz tych rzeczy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

DO TEJ PORY nie ustał jeszcze wrzask (żydzi nie krzyczą, ale podnoszą wrzask) z powodu nieudanej wizyty delegacji rabinów żydowskich u kardynała Kakowskiego, podczas której uważali oni za stosowne tłumaczyć dostojnikowi Kościoła podstawowe zasady etyki katolickiej, a następnie podsuwać gotowy już wniosek w formie żądania (!!) listu pasterskiego, mającego przeciwstawić się, rosnącemu w Polsce z dnia na dzień, antysemityzmowi. Linja wywodu rabinicznego posiadała wszystkie cechy owej niewiele mającej wspólnego z logiką, a dzisiaj niestety często spotykanej w dyskusjach formy założenia: „ponieważ nie rozumiemy, w jaki sposób można pogodzić antysemityzm z nacjonalizmem, a więc pogodzić ich z sobą w żaden sposób nie można". W głowie nie chce im się pomieścić to, że jest inaczej. Dosadna odpowiedź ks. kardynała dała nauczkę zawodzącej jękliwym głosem delegacji.

Cel niefortunnej wizyty był aż nadto przejrzysty: chodziło o przeciwstawienie, a nawet skłócenie polskiego ruchu narodowego z katolicyzmem. Przyznać trzeba, że powodzenie takiego zamierzenia byłoby walnem zwycięstwem dla żydostwa, ale...

Żydzi są mistrzami w prowadzeniu intryg i używaniu dyplomatycznych środków dla przeprowadzenia swoich planów, w tym jedynie wypadku, gdy towarzyszy im powodzenie. W chwili jednak niebezpieczeństwa i porażek tracą panowanie nad swojemi nerwami, wpadając w popłoch i postępując jak zwyczajni partacze.

Tym razem robota była wyraźnie szyta grubemi ni๋ćmi; niezrównani mistrzowie wykonali ją poprostu jak — szewcy.

WYCHOWANIE NARODOWE

O KOMISJACH OCENY PODRĘCZNIKÓW

ZWRACALIŚMY swojego czasu uwagę na karygodne błędy rzeczowe (o stylistycznych i gramatycznych nie mówiąc), zawarte w podręczniku historji na kl. V, zatwierdzonym i poleconym do użytku szkolnego przez komisję ministerjalną, a napisanym przez niejaką J. Szenbrennerównę. W parę miesięcy później w całej prasie, i to nietylko opozycyjnej, wszczęto słuszny alarm z powodu skandalicznych wprost błędów, znajdujących się w aprobowanych przez takież komisje podręcznikach, napisanych przez pp. Dąbrowskiego i Zanda oraz p. Pohoską. Z ostremi ocenami spotkały się też podręczniki do innych przedmiotów szkolnych.

To wszystko zmusza nas do uważniejszego zajęcia się sprawą owych komisyj podręcznikowych. Coś z temi komisjami jest nie w porządku. Muszą w nich zasiadać ludzie bez fachowej wiedzy, bez dostatecznego nawet przygotowania w zakresie wiedzy, wymaganym choćby od gimnazjalisty.

Boć jakże mówić o wiedzy tych panów, skoro w komisji np. podręczników łacińskich zasiada człowiek, nieznający należycie żadnego z języków klasycznych, a „zasłużony" nauce jedynie skandalicznym przekładem „Historji kultury antycznej" prof. Zielińskiego, rojącym się od rusycyzmów i od błędów rzeczowych. Podręczniki angielskie ocenia m. in. jegomość, nie znający języka angielskiego, jegomość, któremu wykazała fachowa krytyka setki kapitalnych, zabawnych wprost nieporozumień w przekładzie liryków angielskich.

Miarą „wiadomości" komisji oceniającej podręczniki polskie jest m. in. to, że nie poznała utworów Słowackiego, Fredry, Orzeszkowej i innych pisarzy, każdemu znanych ze sztuby, i uznała je za „słabe artystycznie"... na podstawie czego odrzuciła podręcznik, opracowany przez wybitnego znawcę i estetę...

Nie chcemy mnożyć przykładów. Wspomnimy tylko to, że w komisji oceny znajdują się czasem i sami... autorowie podręczników, a częściej jeszcze ich osobiści przyjaciele. Wówczas podręcznik, choćby najgorszy, choćby opracowany przez autora, nie mogącego się legitymować ani wiedzą, ani głośnem w nauce czy pedagogji nazwiskiem, może liczyć na aprobatę. Podręcznik inny odrzuca się prosto z mostu; tak uczyniono m. in. z podręcznikiem, opracowanym przez prof. Chrzanowskiego.

Na tę anomalję powinny zwrócić uwagę władze — we własnym interesie. Jeżeli się zamyka „do kozy" lub skazuje na karę pieniężną każdego, kto ośmiesza władze i urzędy państwowe, tedy należałoby pozamykać i najcięższą grzywną obłożyć conajmniej połowę członków owych komisyj, bo narażają oni na pośmiewisko władzę tak poważną, jaką jest Ministerjum Oświaty. Pośmiewisko to głębsze i dotkliwsze, niż doraźny i niewinny żarcik, o którym jutro się zapomni; kompromitacja tym razem jest ujawniona i szerzona w tysiącach drukowanych egzemplarzy, które jeszcze za sto lat oglądać będzie można — a wówczas podręczniki historji, już nie przez pp. Pohoską i Szenbrennerównę pisane, mówić będą, że *tempore illo* głoszono, jakoby Wołga wpadała do morza Azowskiego, a Warta do Wisły, choć już stary Kadłubek znał lepiej geografję... Ministerstwo powinno się pozbyć tych „antyrządowców", którzy tak mu szkodzą swoją złą wolą, czy nieuctwem; pozatem należałoby ich zmusić do zwrotu kosztów i strat, poniesionych przez księgarnie, co takie podręczniki będą musiały wycofywać i niszczyć, by ich oko ludzkie nie widziało. Radzimy to nie przez „opozycję dla opozycji", ale właśnie... w obronie władz przed niepożądanymi szkodnikami.

QUINCUNX

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Doroczne publiczne posiedzenie Akademji Umiejętności w Krakowie odbyło się w dn. 16 b. m. Lista nowych członków jest następująca:

Na wydziale filologicznym: członek czynny prof. Juljan Pagaczewski, członkowie korespondenci: prof. Józef Muczkowski (Kraków), prof. Jan Otrębski (Wilno), prof. Jan Sajdak (Poznań); na wydziale historyczno-filozoficznym: członek-korespondent prof. Ludwik Kolankowski (Wilno); na wydziale matematyczno-przyrodniczym: członek czynny prof. Maksymiljan Huberl, członkowie - korespondenci: prof. Jerzy Aleksandrowicz (Lwów) i prof. Edward Sucharda (Lwów); na wydziale lekarskim: członkowie czynni prof. Edward Loth, prof. Jerzy Modrakowski, obaj z Warszawy, członkowie-korespondenci: prof. Franciszek Giedroyć (Warszawa), prof. Jan Lenartowicz (Lwów), prof. Stanisław Przyłęcki (Warszawa) i prof. Roman Ręcki (Lwów). Pozatem ogłoszono listę nowych członków Akademji Umiejętności z zagranicy.

Nagrodę im. Probusa Barczewskiego przyznano ks. Stanisławowi Bednarskiemu T. J. za książkę p. t. „Upadek odrodzenie szkół jezuickich w Polsce".

Po sprawozdaniu prof. S. Pigoń wygłosił odczyt p. t. „Sąd nad Polską w „Panu Tadeuszu". Publiczność przyjęła prelekcję prof. Pigonia długotrwałemi oklaskami.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

O obecnym papieżu Piusie XI, którego przezwano u nas „papieżem Polaków", istnieje już w Polsce kilka monografij, z których zarówno dzięki swemu ujęciu jak i swej formie

zewnętrznej wyróżnia się obszerna rzecz M. Pachuckiego, wydana przed niedawnym czasem przez księg. św. Wojciecha. Obecnie ogłosił prof. Jan Sajdak interesującą rozprawkę p. t. „Pius XI jako uczony". Dowiadujemy się z niej, że Achilles Ratti już jako 21-letni kleryk ogłaszał studja o muzyce kościelnej, a licząc sobie lat 25 miał za sobą aż trzy doktoraty. Większość prac jego naukowych związanych jest z jego rodzinnym Medjolanem, zwłaszcza ze wspaniałą Bibljoteką Ambrozjańską. Wydawanie krytyczne tekstów stawia go w rzędzie najpierwszych filologów świata, a ilość prac i rozległość tematów i zainteresowań jest wprost zdumiewająca. Historja sztuki, archeologja, teologja, hebraistyka, dyplomatyka — to najgłębiej opanowane dziedziny wiedzy przez tego niestrudzonego badacza, który chwile wolne zużywał na alpinistykę, krajoznastwo i poznawanie przyrody. Przytem doskonały organizator nauki i pracy naukowej, systematyk bibljotekoznawstwa, reformator Akademji naukowej, założyciel wielu instytucyj naukowych — nadewszystko zaś miłośnik i propagator powszechnej oświaty. Zadziwia też jako mistrz stylu, zarówno w ojczystym języku włoskim, jak w łacinie, czy francuszczyźnie. Postać, którą czcić powinny liczne pokolenia dla jej wielkich zasług — a przecie niemniejsze od zasług naukowych są jego czyny religijne i społeczne. (J. B.)

*

O poecie niemieckim Ryszardzie Dehmlu więcej się mówiło u nas i słyszało, aniżeli wiedziało się naprawdę. Bodaj że ogół nasz poprzestawał na tem, co o Dehmlu opowiadał (czasem fantazjował) w swych wspomnieniach jego przyjaciel Przybyszewski. Na wiarę niejako przyjmowaliśmy zapewnienia o genjalności tego pisarza. Teraz dopiero o uprzystępnieniu Dehmla szerszym kołom czytelników polskich pomyślał znany już z przekładów Goethego i Jana Sekundusa germanista Arnold Spaet, wydając (nakł. „Filomaty" we Lwowie) przekład jego „Poezyj" z obszerną przedmową. W przedmowie najcenniejsze są informacje o stosunku Dehmla do literatury polskiej; na podstawie jego własnego listu dowiadujemy się, że świetny przekład „Marsza żałobnego" Ujejskiego powstał dzięki prozaicznej parafrazie, napisanej po niemiecku przez Przybyszewskiego.

Dehmla uważa Spaet — zgodnie z głosami krytyki niemieckiej — za największego liryka niemieckiego od czasów Goethego i Heinego, oraz za właściwego „wyraziciela epoki i generacji" na przełomie wieku, wyraziciela bardziej znamiennego i głębszego, niż Hauptmann. Na obszarze ówczesnej liryki europejskiej widzi dwóch równej miary poetów: Kasprowicza i Verhaerena. Dehmel jest lirykiem *par excellence*; w innych formach prócz liryki nie umiał się wypowiedzieć. Ale zato liryka ta jest przebogata i tematem i skalą napięć. Łączy w sobie nawet kontrasty i sprzeczności — takie jak naturalizm i symbolizm, metafizykę i empiryzm. Wyrósł Dehmel z Nietzschego, to prawda, ale niedługo ulegał mistrzowi; owszem, przez tendencje socjalne stanął wnet względem niego w pewnej jakby opozycji. W każdym razie pozostał przez całe życie indywidalistą — nietylko w owych sprzecznościach z samym sobą i światem, ale i w głoszeniu nowej seksualnej etyki, która zapanowała dzięki niemu na pewien czas w Niemczech (dziś podobno Hitler jej kres kładzie).

Różnolitości nastrojów i doznań w liryce Dehmla odpowiada i giętkość jej formy; jest on jednym z mistrzów wiersza i języka. Szkoda, że o tem mistrzostwie nader słabe możemy mieć pojęcie z przekładów, które są ciężkie, sztywne, nastroszone banalnemi rymami i zdawkowemi zwrotami — jakby ze zbiorku powinszowań imieninowych. (J. B.)

*

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie (nakładem magistratu m. Lublina) wydało „Materjały do lubelskiego słownika aktowego", w układzie Jana Riabinina, (Skład główny Dom Książki Polskiej w Warszawie). Autor oddawna się poświęca badaniom dziejów Lublina i ziemi lubelskiej. Ogłosił szereg studjów o radach miejskich, sądownictwie, księgach wójtowsko-ławniczych, cechach rzemieślniczych w siedemnastym stuleciu, o akademji w Zamościu i hrubieszowskiem Towarzystwie Rolniczem. W nowej swej pracy „Materjały do lubelskiego słownika aktowego" podaje formuły i terminy prawne, używane w sądach i urzędach miejskich lubelskich, oraz rzadsze wyrazy i sentencje, rozsiane w księgach lubelskich, przeważnie wójtowsko-ławniczych i radzieckich, w ich brzmieniu polskiem obok łacińskiego. Praca ta tematycznie jest w związku z wydaną we Lwowie w 1932 r. przez profesora Przemysława Dąbkowskiego „Księgą alfabetyczną dawnego prawa prywatnego polskiego", z tą różnicą, że traktuje wyłącznie o prawie lubelskim lokalnym, wedle zwyczaju „miasta tutecznego, który się za prawo zachowuje i jest daleko lepszy od prawa".

Zbiór tych materjałów archiwalnych, ułożony przejrzyście i z rzeczowemi komentarzami, ma twórcze znaczenie dla badań nad słownictwem, historją prawa, a i obyczajów, gdyż wiele przytoczonych formuł prawnych obrazowo odzwierciadla stosunki i sposób myślenia w minionych wiekach. (A. W.)

*

W Pradze ukazało się świeże dzieło o Arturze Grottgerze. Autorom monografji jest wielbiciel Grottgera Franciszek Taborsky. Dzieło ukazało się we wspaniałem, bogato ilustrowanem wydaniu, jako X tom prac Instytutu Słowiańskiego. Autor, oddawna studjujący dzieje polskiego artysty, oparł się w swej pracy głównie na monografji Antoniewicza, a zwłaszcza na dwutomowem dziele Maryli Wolskiej i Michała Pawlikowskiego „Arthur i Wanda", wydanem w Bibljotece Medyckiej 1928 r.

Nazwisko Grottgera dzięki pięknej książce Taborskiego nabiera w Czechach wielkiego rozgłosu i staje się nowem ogniwem współżycia duchowego dwu bratnich narodów. Przykro przy tej sposobności powiedzieć, że tak wspaniałe wydawnictwo, jak „Arthur Wanda" za mało jak dotąd znane polskim sferom oświeconym. Dzieło to, będzie zarazem albumem prac Grottgera, skomponowane jest jak najciekawszy i bardzo wzruszający romans, oparte jest bowiem na wspomnieniach matki śp. Wolskiej, Młodnickiej, która była narzeczoną Grottgera, i na bogatej korespondencji.

Kiedy Czesi czytać będą Taborskiego, niechaj Polacy czytają „Arthura i Wandę". Dzieło to jest na składzie w Domu Książki Polskiej i nabyć je można w każdej księgarni.

ZE ŚWIATA SZTUKI

DRUGA POŁOWA XIX-go stulecia przynosi nam szereg prac, wykonanych szlachetnemi technikami graficznemi, a będących kopjami rozlicznych, mniej lub więcej znanych dzieł malarskich. Prace te, sporządzane bądź do ilustrowanych czasopism, bądź to w luźnych arkuszach, miały na celu rozpowszechnienie dzieł istniejących jako oryginał tylko w jednym egzemplarzu i zastępowały dzisiejszą artystyczną reprodukcję. Zastępstwo to nie było ani dosłowne, ani konieczne, gdyż niektóre techniki reprodukcyjne znano już wówczas, że wymienimy chociażby służącą celom reprodukcyjnym, poniekąd, litografję, no i heliograwiurę. Wykonanie jednak kopji ręcznie, bez użycia środków mechanicznych lub fotograficznych, przez biegłego technicznie, o pewnym poziomie artystycznym, specjalistę, nadawało takiej pracy tak bezsporne zalety, iż nie wahano się długi czas używać szlachetnych technik drzewo — i metalorytniczych do interpratacji dzieł, wykonanych olejno lub innym sposobem malarskim. Reprodukcja mechaniczna bowiem zawsze nosi pewne cechy bezduszności, jednako traktując wszystkie różnorodne partje obrazu, podczas gdy praca dłoni ludzkiej nigdy w dwu następujących po sobie momentach nie powtarza się z zupełną dosłownością. Umysł człowieka pozatem, który jego dłonią kieruje, ma możność innego ustosunkowania się wobec każdego indywidualnego wypadku.

Tak więc przewaga, pod względem artystycznym, kopji, wykonanej techniką graficzną, nad reprodukcją fotomechaniczną jest chyba oczywista. Pozostaje do rozważenia kwestja bardziej zawiła: czy grafik-kopista jest tylko rzemieślnikiem, czy też i artystą? Jeśli tak, to w jakiej mierze? Samo przez się rozumie się, iż jego rzemiosło można umieścić w rzędzie najbardziej artystycznych, pojmujemy oczywiście jego przewagę nad takiem np. krawiectwem lub ciesiółką, lecz nam chodzi o co innego. Są rzemiosła, wymagające określonej kultury artystycznej, mimo to uprawiający je najsłuszniej zwani są rzemieślnikami; innych znowu

obdarzamy mianem artystów, choć ich praca ma także swą część rzemieślniczą.

Przy wyjaśnieniu kwestji pomocą będzie użyte na początku słowo: interpretacja. Praca kopisty-grafika polega na powtórzeniu w technice graficznej obrazu, wykonanego techniką inną, np. olejną. Czy praca ta może zawierać momenty twórcze? Nie zawiera ich oczywiście kopjowanie samej kompozycji obrazu (układ), ani powtórzenie dosłowne takiego a nie innego ujęcia rzeczywistości przez malarza. Jeśli natomiast chodzi o kolor, którego kopja graficzna dać nie może, tu już otwiera się pole dla inicjatywy kopisty: czem i jak w grafice jednobarwnej zastąpić efekty koloru. Dalej jeszcze, biorąc pod uwagę zupełnie inne sposoby wykonania obu prac, zrozumiemy, że tu już powtórzenia być nie może; kopista staje się tłumaczem, przekłada jakby utwór malarski na inny język plastyczny. W wyborze środków interpretacji musi polegać tylko na sobie, jego wynalazczość twórcza i niezależna już, w tym zakresie, decyduje o wszystkiem. Jeśli nie odmawiamy miana artysty (nie twórcy) kopiście arcydzieł malarstwa tą samą techniką, czemużbyśmy mieli go odmówić kopjującemu grafikowi, który, oprócz umiejętności, musi wykazać jeszcze inicjatywę wyszukania środków najwierniej, lecz nie dosłownie, oddających efekty faktury oryginału. Grafik-kopista nie jest kompozytorem, ani twórcą nowej rzeczywistości plastycznej, ale może być artystą w dziedzinie języka plastycznego.

Uwagi, skreślone powyżej, trzeba mieć w pamięci przy oglądaniu prac graficznych Feliksa Jasińskiego, zebranych na wystawie w Zachęcie. Jasiński, podlasiak z urodzenia, wychował się w Krakowie. Jako 18-letni młodzieniec wyjeżdża z rodzicami do Brukseli. Tu kształci się w rysunku i malarstwie. W roku 1882-gim przebywa w Paryżu i studjuje w Akademji Julliena. Poznaje akwaforcistę Gauchrel'a, redaktora znanego tygodnika *„L'art"* i znajomość ta decyduje o wyborze zawodu rytownika. Akwaforty uczy się u dobrego grafika, L. Ruet'a. Następnie studjuje technikę rylca i poświęca się całkowicie grafice reprodukcyjnej, którą doprowadza do niebywałych wyżyn doskonałości artystycznej.

W ciągu 20 lat (ur. w 1862 r.—um. w 1901 r.) wykonał 71 plansz dla czasopism artystycznych, oraz wydawców rycin. Zaczynał od kopij pierwszorzędnych majstrów, później odtwarzał w grafice dzieła mistrzów: Holbeina, Dürera, Botticellego; w r. 1893 wykonywa szereg sztychów według Burne-Jones'a, ślęcząc nad niemi aż do śmierci. Subtelny i wrażliwy, wytrwały i rzetelny, pracował nieustannie nad doskonaleniem środków, służących do oddania właściwości artystycznych odtwarzanych obrazów. Ryciny swoje sztychował z niezmierną pieczołowitością, czyniąc podczas pracy niejednokrotnie szereg prób mozolnych takiego lub innego rozwiązania graficznego, by wkońcu znaleźć to, które uważał za najwłaściwsze.

Dobrze zorganizowana wystawa Jasińskiego w Zachęcie pokazuje wiele stanów płyt podczas opracowania ryciny, unaoczniając wyraziście proces powstawania dzieła rytownika. Technika Jasińskiego jest precyzyjna i drobniutka, lecz nigdy sucha i jałowa; oddzielnych kresek czasem nie można dostrzec gołem okiem, lecz całość będzie zawsze żywa, smaczna i wysoce artystyczna. Jest to pociągnięcie rylcem artysty, a nie bezdusznego kaligrafa; pod tym względem Jasiński zyskuje w zestawieniu z wieloma nawet wybitnymi grafikami. Dość porównać jego prace ze sztychami wielu znakomitych rytowników-portrecistów (francuskich i niemieckich) z końca 17-go i początku 18-go stulecia, którzy doskonałość techniczną doprowadzili do stanu oschłości.

Pod koniec życia Jasiński poczuł jakiś niepokój duchowy; lata, strawione na kopjowaniu dzieł cudzych, może wydały mu się zbyt jałowe (to jeszcze jeden dowód, że był artystą), zapragnął sam tworzyć. Zmęczony jakby drobiazgowością metalorytu, oryginalne swe prace wykonał w bardziej swobodnej technice drzeworytniczej. W rozwiązaniu są one zupełnie różne od prac dawniejszych. Ujęte szeroko i syntetycznie, nerwowe, często niespokojne, dziwaczne, lub symboliczne odzwierciadlają może jego depresję psychiczną. Coś się działo w tej duszy. Artysta zmarł i nie zdążył się wypowiedzieć.

Jasiński, choć mieszkał na obczyźnie, był zawsze Polakiem; znany i bardzo ceniony jako rytownik pracą swą przysporzył Polsce chwały wśród obcych.

Ryciny wystawione pochodzą ze zbiorów L. Wellisza, który wydał książkę o Jasińskim. Dzieło to, zawierające około 50 reprodukcyj i 6 odbitek z płyt, ukazało się w Paryżu, nakładem firmy Van Oesta. Dokładny katalog rycin Jasińskiego, wraz z analizą techniki rytownika, opracowany został przez Tadeusza Cieślewskiego, syna.

WIKTOR PODOSKI.

FILM

FILHARMONJA: „Paryskie szaleństwa" reż. Ralph Murphy film amerykański.

Film nierówny. Nietylko dlatego, że obok bezspornych zalet ma i braki; więcej może z niewytrzymanej jednolicie koncepcji ujęcia. Początek jest najlepszy: reżyser operuje fragmentami i nie zatrzymuje się dłużej na żadnym, ich sumą zarysowuje tło. Nie pozwala również wygrywać się aktorom, dając tylko epizody, potrzebne dla skreślenia całości. Operator pracuje, aparat jest w ciągłym ruchu, mnóstwo zdjęć t. zw. wózkowych. Przytem kilka niezłych reżyserskich pomysłów.

Dalej — już znacznie gorzej. Wszystkoześrodkowuje się na aktorach i gdyby nie zabawniejsze momenty, od czasu do czasu, to film nawet byłby przyciężkawy miejscami, bo fabuła tu właściwie nie istnieje. Jest to historja amerykańskiego studenta, stypendysty, dość naiwnego prowincjała, który wpadł w Paryżu w atmosferę cyganerji artystycznej, ściślej mówiąc, wydrwigroszów i szaławiłów, żerujących w malarskim światku.

Nie ulega kwestji, że reżyser tego filmu znał Paryż tylko ze słyszenia, natomiast widział francuskie filmy. W całym filmie bodaj niema ani jednego prawdziwego paryżanina, zresztą może reżyser świadomie ich unikał (nie czuł się na siłach), poprzestając na kreśleniu sylwetek cudzoziemców.

Dobrze zato, choć złośliwie są scharakteryzowani Rosjanie. Widocznie emigranci rosyjscy wszędzie są jednakowi.

Poruszono tu również kwestję blagi w malarstwie, wyśmiewając sztukę pewnego odłamu modernistów. Tezy w zasadzie słuszne, podane jednak z wdziękiem cokolwiek niedźwiedzim; widocznie ręce amerykańskie, niezawodne w ciosie bokserskim, zaciężkie są do subtelnych ciosów ironji.

Zakończenie jest według utartego szablonu. Całość, mimo zastrzeżeń, godna jednak uwagi, jako próba podejmowania kwestyj, dotychczas w filmach amerykańskich nie podnoszonych.

KANDYD

BŁĘDY DRUKU. W Nr. 25 w przemówieniu K. H Rostworowskiego o „Panu Tadeuszu" na szp. 2 str. 379 w wierszu 19 od dołu powinno być „zmieniając tylko jedno słowo" (nie „umierając"); na str. 380 szp. 1 wiersz 32 od góry ma być „ujrzeliśmy" (nie „ujrzelibyśmy").

OFENSYWA

„LA CELESTINA" i „LA CHUETTA"

NIEPOWETOWANA to strata, że pani Zofja Casanova-Lutosławska nie zdecydowała się łaskawie pisać nam o współczesnej literaturze hiszpańskiej, dawać konterfekty autorów, analizy dzieł, syntezy kierunków i prądów i w ten sposób nawiązać jakieś stałe a autorytatywne węzły między piśmiennictwami dwóch narodów katolickich, rycerskich, ziemiańskich i tak wogóle i w szczegółach do siebie podobnych.

Ponieważ nie odzywają się i inni w tej dziedzinie kompetentni, a wielokrotnie ku temu animowani, przeto musimy sobie jakoś radzić sami wtedy, kiedy nastręcza się coś, co ze względu na analogje pod światło powinno być podniesione i niepominięte. Tym razem jest sprawa taka.

Mecenas Jose Antonio Primo de Rivera, syn zmarłego dyktatora, a sam jeden z wybitnych działaczów integralnego nacjonalizmu oraz jeden z trzech predendentów na wodza ruchu faszystowskiego w Hiszpanji, po powrocie z Berlina dał wywiad w swej prasie radykalno-narodowej, w którym mówił *quod sequitur:*

„Hitleryzm posiada pewne zasady, które zbiegają się z naszemi, ma jednak również pewne cechy germańskie i luterańskie, jaskrawo sprzeczne z rzymską i hiszpańską ideą uniwersalizmu. Cechy te streszczają się w słowie „rasizm". Niemiecki ekskluzywizm rasowy jest rzeczą niemożliwą do przyjęcia dla umysłów i dusz hiszpańskich... Żydów nigdy nie będziemy odsuwali od naszego społeczeństwa. Przeciwnie będziemy się starali jak najbardziej ich z niem zespolić. Hiszpan nie będzie nigdy uważał, że jest rzeczą niegodną ożenić się z żydówką. Będzie się starał tylko ją nawrócić".

Otóż to się tak łatwo mówi i pisze, gdy się jest Hiszpanem i ma u siebie najmniejszy procent żydów tj. 0.018.

Jeżeli się więc lat temu czterysta przegnało i wsypało na okręty cały dorobek i narybek żydowski i ma ich u siebie tyle co na lekarstwo, tyle co nic, tyle co zbiera się w „Ogrodzie Saskim" w Warszawie w dzień letni, no to łatwo powiedzieć wtedy: „jestem przeciwnikiem ekskluzywizmu". Jest to nawet psychologicznie dość zrozumiałe.

Nie ma atoli racji mecenas Primo de Rivera i tkwi w błędzie. Myśli tylko utylitarnie a nie planetarnie. Nie zdaje sobie sprawy z istoty niebezpieczeństwa i nie orjentuje się, na czem ono polega.

Otóż mieszkając w kraju, który jest obarczony największym garbem, bo największym żydów procentem, w kraju, którego liczni żydzi nie tylko interesują się intensywnie narodem hiszpańskim (rabin Ehrenpreis, Bernard Szwarz ze Zgierza), ale przeniósłszy się cichcem do Hiszpanji, tam za kulisami, za kotarami i za tapetami odpowiednio po swejemu działają, możemy seniora Josego Antonio bardzo łatwo przekonać, że tak a nie inaczej problem żydowski statuując działa nieopatrznie i lekkomyślnie.

Weźmiemy sobie argument i przykład na przekór z jego własnej ojczyzny.

Otóż literatura nadobna w obecnej Hiszpanji znajduje się w stadjum atrofji, depresji i omal zaśnięcia. Trzy lata republikańskiego *pandemonium* wpłynęły na nią rozkładczo i depresyjnie. Na arenę życia publicznego wbiegło ze wszystkich bram tyle wygłodniałych i rozwierzganych czerwonych i czarnych byków- że przed tą plebejską-zwierzęcą nawałą Torreadory i Matadory literatury wszystkie zbiegły i cofnęły się w domowe zacisze i pielesze. Ci, co ten republikanizm zwiastowali jako „dobrą nowinę", przerażeni zachłannością, animalizmem i rozwścieklenlem dosłownych demokradów i ...„synów ludu", poprostu z obrzydzenia wycofali się z obiegu i zawiedzeni dali za wygraną. Niektórzy z piszących asów zostali dyplomatami i szczęśliwym trafem siedzą sobie w Londynach, Genewach, Paryżach, nie potrzebując już patrzeć na te parlamentarne harce, na karjerowiczostwo radykanalji, na tych obżerających się kawiorami masonów i w Cadillacach rodaków przejeżdżających humanitarystów. Unamuno jako prezes „Klubu Ateneum" widocznie zasnął i śpi snem sprawiedliwego Jana Chrzciciela... Madariaga nadal mówi i mówi niczem Sancho Pansa. W poezji nic nowego, w powieści nic, w teatrze mało. Gdzie te czasy, kiedy to się czekało na nowego bodaj Blasco Ibaneza? Pio Barojów z ich kompleksem judofilji mamy sami u siebie w bród. Nowelistek socjalizujących *à la* Concha Espina też moglibyśmy eksportować. Jacinto Benavente gdzieś się zagubił, bo nic o nim nigdzie się nie czyta. Taksamo gdzieś przepadł Ramon Gomez de la Serna, którego już zaczęliśmy na polskie tłumaczyć. Z kawiarni „Piombo" widocznie już nie wyrajają się nowe genjusze, bo gdyby coś było ciekawego, toby nam o tem jednak referowali Boye lub Essmanowski, Kowalski lub Kowalska...

Wybuch wulkanu demokratycznego widocznie oślepił i ogłuszył delikatne organizacje artystyczne. Odraza do tych bestyj, co spaliły kaplicę San Jose w Sewilli, Chrystusa pędzla Juana de Mena na Maladze, dziesięć tysięcy inkunabułów, a drugie dziesięć obrazów, posągów, rzeźb, sprzętów kościelnych z XV i XVI wieku, poprostu sparaliżowała rozpęd i rozmach całej elity pisarskiej. Z życia teatru zanotowano tylko młodego Marquiny „Don Mechiję" (duży sukces), J. M. Pemory wzniosłą apoteozę św. Franciszka Salezego („*El Divino Impaciente*") i wiecznie rzeźkiego, mieniącego się, elastycznego „podsekretarza stanu" Azorina przejście z powieści w teatralny Pirandellizm, i to odrazu trylogją, której pierwsza część, misterjum Calderonowskie „*Angelita*", zaczęta było jeszcze zresztą przed rewolucją i detronizacją Burbonów, bo w r. 1930.

Wznowiono natomiast dawno zmarłego Fernando de Rojas: „*La Celestina*".

I oto nagle sensacja i afera i polemiki i dyskusje, „ruch w interesie" agonizującym i zmartwiałym. Co się okazuje? Sztuka najgłębiej amoralna, nihilistyczna, defetystyczna, desperacka apoteoza samobójstwa jako wyzwolenia, celu, ratunku.

W elicie intelektualnej Madrytu istnieje jednak jeden dziś pisarz czujny, pierwszej gildji i rangi, krytyk, myśliciel, moralista, socjalkatolik, autor „*La Nueva Catolicidad*" Gimcuer Caballero. I ten to biały Caballero (ekspiacja za tamtego czerwonego warchoła czy warjata), pisząc o tej sztuce, zarzucił jej światopogląd anarchistyczny i z gruntu semicki. Tymczasem autor przecież katolik z hidalgów, de Rojas?...

Zaczęto kłócić się i wymyślać Caballerowi. Ale zaczęto też szperać w de Rojasach. Zawsze byli katolikami! Ani śladu judeo! I co wreszcie wyszperali?

Specjalny gatunek hiszpański ni wychrzty ni przechrzty: marrany albo po hebrajsku *anusim* (zniewoleni), po hiszpańsku „*chuetta*" (wieprzowina) albo „*de Nacao*".

Szczegółowo opisał ich starozakonny Schwarz ze Zgierza (1922). Szperał za nimi, pojechał, szukał i znalazł. Za jego przykładem zaczęły się formalne pielgrzymki żydowskich klerków, a to na Malorkę (Palma de Malorca), a to do Portugalji, tam wszędzie, gdzie są w największych skupinach i gdzie przetrwali przez 400 lat i dopiero w r. 1931-szym po rewolucji na czysty judaizm powrócili! Powrócili!

Oficjalnie bywali katolikami lub semikatolikami. Jako w spokoju pozostawieni żydzi modlili się do św. Tobjasza specjalnie jako patrona żydów. Po nabożeństwach, po rezurrekcji wracali do domów i w rodzinie śpiewali chórem... Kol-Nidrę. Przed domkami swymi, przed bramami stawiali ostentacyjnie garnki z wieprzowiną (*la chuetta*) i stąd ich nazwa. Jako katolicy swoich dewotów albo tych, co szli na księży, nazywali „*rabinio*". Przeważnie zajmowali się i pracowali w złotnictwie i robili krzyże i „*vota*" srebrne i... złote... na.. ołtarze. Tak kobiety jak i mężczyźni od r. 1492 do roku 1931 nosili na szyi krzyżyki. W Boże Narodzenie *anusim* (*de Nacao*) palili osiem świeczek jak ortodoksi.

Mniejwięcej z takich wywodził się też autor „Calestiny" Fernando de Rojas. Krew nie woda! Odzywa się po 400 latach. „Celestinę" mógł napisać tylko żyd... tak podejrzewali wszyscy w teatrze, Gimcuer Caballero pierwszy to napisał jako hypotezę...

Ciekawe by było, czy don Jose Antonio Primo de Rivera wypowiedział swoje *confiteor* przed ezy po aferze „Celestiny" Fernando de Rojas? ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Akademik Literatury Kaden - Bandrowski pojechał do Paryża, aby tam wygłosić na cześć Mickiewicza bzdurę, którą tak streszcza PAT:

„J. Kaden - Bandrowski przestrzegał przed przedwczesnem balsamowaniem arcydzieła. „Pan Tadeusz" bowiem jest wiecznie żywą biblją (?) narodu, — poeta wyspowiadał w niej naród z jego grzechów (?). Należy podziwiać odwagę (?) i wielkość wieszcza, który nie zawahał się przedstawić życia narodu z głęboką tragiczną ironją (?), umyślnie czyniąc to życie małem, zaściankowem, aby tem łatwiej (?) ukazać jego przywary".

Każdy inny szóstoklasista dostałby zły stopień za tak niezdarne wypracowanie. Pokazuje się, że „Pan Tadeusz" jest satyrą! Ale dlaczego nie „balsamować"? Przecież na to się balsamuje, aby „wiecznie żywe" było. Kaden słyszał, że Boy chce „odbronzować"...

Żeby przestrzec (kogo?) przed „balsamowaniem (!) „Pana Tadeusza", trzeba było założyć Akademję Literatury, a potem powołać do niej Kadena i wysłać go z tem do Paryża. Kosztowna „rozbudowa" głupstwa!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Ul. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM